



Maria Dunkel

Pieśń węży



Maria Dunkel

Pieśń węży



Pieśń węży

Copyright © Maria Dunkel

Copyright © Wydawnictwo Inanna

Copyright © for the cover art by Olga Koc

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2017

druk ISBN 978-83-7995-042-3

epub ISBN 978-83-7995-043-0

mobi ISBN 978-83-7995-044-7

Redakcja: Aleksandra Ślósarek

Korekta: Katarzyna Koćma

Ilustracja i projekt okładki: Olga Koc

Skład i typografia: Studio Grafpa, www.grafpa.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydawnictwo Inanna

Żurawnica 82

22-470 Zwierzyniec

sekretariat@inanna.pl

www.inanna.pl

Spis treści

Prolog	7
Część pierwsza	
ZIELONY	33
Część druga	
CZERWONY	237
Część trzecia	
BIAŁY	427

Prolog

Maghar dobrze pamiętał dzień, w którym Kerin Zmiennoskóra pojawiła się w królewskim pałacu. Strugi jesiennego deszczu siekły pałacowe ogrody, kiedy straż przeprowadzała ją przez bramę. Mężczyzna obserwował to z okna samotni Radirzjana Geshwan-ka, wtedy jeszcze marszałka Rady Stanu.

– Po co ci ona? – spytał. – Jest niebezpieczna, powinna zgnić w lochach.

Kerin ujęto na trakcie wiodącym przez Wilczy Bór. Maghar przypuszczał, że patrol żołnierzy zaczepił ją dla rozrywki. Wędrująca samotnie kobieta zawsze prowokuje takie sytuacje. Tym razem trzech ludzi przypłaciło zabawę życiem.

– Bezpieczna broń na nic się nie przydaje – zauważył kpiąco Geshwanek.

Kerin niewątpliwie się przydała.

Była martwa. Ta szokująca wieść szybko obiegła pałac. Maghar porzucił przeglądanie raportów otrzymanych dzień wcześniej od szpiegów i udał się do jej komnat.

Ciała jeszcze nie usunięto. Wejścia do sypialni Kerin strzegli milicjanci w czarnych uniformach. Grupka ciekawskich służących stłoczyła się za rogiem. Rozmawiały przyciszonymi głosami, chyba w szczerzej wierze, że nikt nie zauważy, jak zaniedbują obowiązki.

Maghar zatrzymał się przed drzwiami. Jeden z milicjantów obrzucił go uważnym spojrzeniem. O nic nie zapytał, po prostu usunął się na bok.

Mężczyzna przestąpił próg. *Nigdy tu nie byłem*, pomyślał przelotnie, rozglądając się z uwagą. Po pomieszczeniu kręciło się kilku funkcjonariuszy milicji. Jeden, zgięty w pół jak pokurcz, chodził po grubym, ciemnoniebieskim dywanie. Inny przeglądał zawartość wielkiej skrzyni stojącej w kącie, a czynił to tak ostrożnie, jakby poruszenie jednej rzeczy kosztowało go długotrwałą walkę z samym sobą. Ostatni milicjant pochylał się nad prostą, elegancką toaletką. Przy otwartym szeroko oknie, przez które wpadały podmuchy zimnego powietrza, komendant milicji Ederyk Kasharp rozmawiał z Geshwankiem ubranym w biały mundur komendanta.

Bardziej niż to wszystko, Maghara zainteresowało rozgrzebane łóżko i spoczywające na nim ciało. Ruszył w jego kierunku, uważając, by nie zdeptać dywanu.

Kerin leżała bezwładnie, z rozrzuconymi rękami i złączonymi nogami. Poza krótką, haftowaną w barw-

ne kwiaty koszulą, nie miała na sobie nic. Bładozłote włosy rozsypały się wokół jej głowy. Młodą twarz o delikatnych rysach wykrzywił grymas gniewu i strachu. Wielkie, szeroko rozwarte oczy wpatrywały się w pustkę. Spomiędzy rozchylonych sinych warg wyglądały równe zęby. Na pościeli nie było śladu krwi, za to okrążyły stolik przy łożu szpecify ciemne smugi. O krok od mebla leżały na podłodze dwa bure ciała górskich szczurów, ukochanych pupilków Kerin. Wokół ich rozbitych czaszek utworzyły się małe kałuże stężejącej krwi.

Maghar powstrzymał się przed chwyceniem za skraj kołdry i okryciem martwego ciała. Odwrócił wzrok. Powoli podszedł do Kasharpa i króla, którzy na jego widok przerwali rozmowę.

– Została... – zaczął.

– ...uduszona – dokończył Kasharp. Uniósł brew w ironicznym wyrazie. – Wiem.

Maghar skinął głową. Dobrze pamiętał, że kiedy pracował w milicji, niczego nie znosił bardziej od wtrącających się w jego pracę waźniaków. Poczul się stary i zmęczony. Zdał sobie sprawę, że aż do tej chwili nie wierzył w śmierć Kerin.

Odwrócił się do króla.

Na smagłej, pokrytej płytkimi bruzdami twarzy Radirzjana Geshwanka nie malowały się żadne emocje. Patrzył na ciało Kerin – swojej kochanki – jak dziecko na ulubioną zabawkę, którą ktoś przez przypadek zepsuł. Poprzetykane pasmami siwizny włosy opadały mu na twarz.

– Wasza Wysokość? – rzucił Maghar.

– Znajdą go – zapewnił Geshwank obojętnym tonem. Odgarnął do tyłu niesforne kosmyki. – Znajdą skurwysyna, a wtedy każę obdzierać go ze skóry, kawałek po kawałku.

Lodowaty gniew mężczyzny był tak różny od ssącego żalu, który odczuwał Maghar, że ten przez moment nie miał pojęcia, co powiedzieć.

– Znajdą go – przytaknął po chwili krępującego milczenia.

Geshwank jakby go nie usłyszał.

– Trzeba zorganizować pogrzeb – stwierdził.

Po czym szybko wyszedł z pomieszczenia. Maghar spojrział pytająco na Kasharpa, ale ten jedynie wzruszył ramionami.

*

Ciało Kerin Zmiennoskórej spalono na pogrzebowym stosie nazajutrz po jej śmierci. Maghar stał obok króla i obaj patrzyli, jak służba polewała stos oliwą, a potem kapłan w białej masce boga śmierci podłożył ogień. Starali się nie wdychać smrodu palonego ciała i milczeli zgodnie z kahańskim obyczajem aż do końca kameralnej ceremonii.

Przez następne dwa dni Maghar prawie nie rozmawiał z władcą, chcąc dać mu trochę czasu na żałobę. Wciąż jednak dręczyły go pewne sprawy związane z morderstwem, więc ostatecznie zdecydował się odwiedzić Geshwanka w jego samotni.

Niezbyt duże, kwadratowe pomieszczenie odstręczało surowym, bezosobowym wystrojem. Od nagiej

posadzki ciągnęło chłodem. Masywne, mahoniowe meble o prostych liniach zostały ustawione w doskonałej symetrii – szeroki stół pośrodku, dwa identyczne regały po lewej i prawej, królewskie krzesło naprzeciwko drzwi. Wszystko tutaj było czyste i równe. Nawet sterty dokumentów na półkach leżały jak od linijki, a Maghar wiedział, że sprzątająca samotnie służąca odkurza je regularnie.

Król był zajęty czytaniem jakiegoś pisma. Zgarbiony nad arkuszem papieru, zmęczony i znudzony, przez dłuższą chwilę nawet nie spojrział na Maghara. Ten przez jakiś czas nie odzywał się, stojąc niemal na baczność tuż przy drzwiach. Nie lubił tego przesadnie schludnego pomieszczenia.

Cisza się przedłużała. Wreszcie Maghar nie wytrzymał:

– Przykro mi z powodu jej śmierci – powiedział. – To wielka tragedia.

Monarcha uniósł złote oczy, podkrążone z niewyspania. Przyglądał się przybyszowi, jakby chciał przewiercić go spojrzeniem na wylot. Marszałek nie odwrócił wzroku.

– Tak – przyznał cicho Geshwank. W jego głosie nie było emocji, tylko pustka. – Bardzo nam się przysłużyła.

Maghar nie wiedział, czy ma większą ochotę wrzasnąć z frustracji, czy uderzyć siedzącego przed nim człowieka w twarz. Mówili o Kerin, kobiecie, z którą nie tylko przez ostatnie trzy lata Geshwank sypiał, ale z którą dzielił się wszystkim. Brudnymi sekretami,

żalami, obawami, planami. Tymczasem w Geshwanku nie było nic: ani smutku, ani gniewu, tylko zimna, obojętna pustka. Zdawało się, że w ogóle nie ma już ochoty słuchać o Kerin.

– Tak... – wymamrotał Maghar. *Jeżeli mamy rozmawiać w ten sposób, lepiej nie rozmawiajmy w ogóle*, pomyślał. Pchany narastającą irytacją, wypalił: – Ostatecznie to jej zawdzięczasz tron.

Geshwank oderwał oczy od papieru i wpatrzył się w jakiś nieokreślony punkt przestrzeni. Mięśnie jego twarzy zadrgały lekko. Nic nie powiedział, przygryzł tylko wargi.

Kerin – korzystając ze swojej zdolności przejmowania cudzych ciał – usunęła poprzedniego władcę. Wraz z Magharem zafałszowała też wyniki śledztwa, by odwrócić wszelkie podejrzenia od Geshwanka. Dlatego Rada Stanu wybrała go na nowego króla, a Maghar z kolei zajął jego miejsce.

– Bez Kerin będzie nam dużo trudniej – ciągnął Maghar. *Cholera, kompletnie nie o tym chciałem z nim rozmawiać*, zdał sobie sprawę. – Jak dotąd nie musieliśmy aż tak bardzo przejmować się politycznymi przeciwnikami. Usuwała ich z dziecinną łatwością.

– Czy naprawdę musimy o tym mówić? – spytał z irytacją Geshwank. – O pewnych sprawach lepiej nie wspominać zbyt głośno, Ren.

– Masz rację – przyznał niechętnie Maghar. – Po prostu... nie mogę się jakoś pozbierać. Cholera, lubiłem ją. Jeszcze kilka dni temu rozmawialiśmy... wspominała o swoich planach.

– Chciała wyjechać – powiedział ponuro Geshwank.

W jego głosie po raz pierwszy pojawił się ślad uczuć. Zbyt nikły, by Maghar mógł je zinterpretować.

– Tak, napomknęła mi o tym – przyznał. – Dwór trochę ją męczył. Chciała na jakiś czas odetchnąć od wszystkiego.

Geshwank pochylił głowę, jakby nagle rozbudziło się w nim zainteresowanie pismem, nad którym pracował.

– Przychodzisz z czymś konkretnym? – spytał.

Maghar przyszedł tutaj, żeby porozmawiać z królem na temat mordercy, który być może ciągle grasował w pałacu. Wiedział, że gwardia jest przygotowana na możliwość ponownego ataku, którego celem mógł być sam Geshwank.

Teraz, po krótkiej, ostrożnej wymianie zdań, tak innej od ich przyjacielskich rozmów, zwątpił, by Geshwank chciał z nim dyskutować na temat bezpieczeństwa. Dręczyła go jednak jeszcze jedna sprawa i wiedział, że jeżeli nie zapyta teraz, może stracić jedyną okazję.

– Wiesz co z trzecim szczurem?

Geshwank gwałtownie poderwał głowę i obrzucił Maghara taksującym spojrzeniem. Gniewnie zmarszczył brwi.

– Trzecim szczurem? – powtórzył.

– Z Zero, ulubionym szczurem górskim Kerin – wyjaśnił Maghar. – Zabójca dorwał dwa pozostałe, ale jego nie widziałem w sypialni.

Geshwank zamyślił się. Maghar był pewien, że król zauważył brak ukochanego pupilka Kerin i jedynie zastanawia się, co odpowiedzieć.

– Musiał uciec, gdy morderca... – zaczął król.

– To niepodobne do niego, zawsze był przy Zmienoskórej – przypomniał Maghar. – I był najodważniejszy z całej trójki.

– Nie wiem, Ren – powiedział ze znużeniem Geshwank. – Proszę, idź już. Nie chcę myśleć o Kerin. Muszę zająć się królestwem.

Maghar uklonił się, odwrócił i wyszedł.

Niepokój nie opuszczał go, odkąd Kerin została zamordowana, a po rozmowie z Geshwankiem zaczął narastać.

*

Maghar siedział w sypialni przy zgaszonym świetle i otwartym oknie. Delikatny chłód letniej nocy rozjaśniał jego znużony umysł. W pałacowych ogrodach koncertowały świerszcze i rechotały żaby.

Wspominał Radirzjana Geshwanka takiego, jakim znał go dawniej. Człowieka, pod którego rozkazami służył od szesnastego roku życia, kiedy został przyjęty w szeregi milicji.

Początkowo nie byli przyjaciółmi. Oficerowie nie bratają się ze szczyłami, którzy ledwo co włożyli mundury. Ale to się szybko zmieniło. Maghar był zdolny, a tacy w kahańskim wojsku szybko awansują. Po dziesięciu latach służby dostał stopień obersztera. Po trzynastu – komendanta. Geshwank osobiście mianował go swoim następcą, kiedy sam został marszałkiem Rady Stanu.

Dla młodego milicjanta ta pozycja była szczytem marzeń. Czasami nawet żałował, że udało się mu zrealizować je tak szybko.

Geshwanka natomiast nie zadowalało stanowisko marszałka. Jego apetyt rósł cały czas. Nikt – z Magharem na czele – nie miał wątpliwości, że byłby dobrym władcą. A na pewno lepszym niż jego poprzednik, Dydaskan Roseulus, który ostatnie lata swego panowania spędził zamknięty we własnych komnatach, powoli zżerany obłędem.

Początkowo Geshwank, mając na uwadze dobro państwa, radził sobie z szaleństwem króla zgodnie z prawem. Poprosił nadwornego medyka o potwierdzenie choroby umysłowej władcy, a po jej uzyskaniu zwołał Radę Stanu i rządził krajem wraz z nią.

Ale tylko, dopóki jej członkowie nie zaczęli wymykać się mu spod kontroli i wykorzystywać władzy do własnych interesów.

W tych nielicznych historycznych okresach, kiedy Kahrem kierowała Rada Stanu, problemem zawsze były podziały między jej członkami, tworzenie zwalczających się stronnictw, skupionych wokół co ważniejszych person. Tym razem nic takiego nie miało miejsca. Geshwank zauważył niebezpieczeństwo, nim jeszcze korupcja i prywata ostatecznie wyparły z Rady Stanu troskę o los królestwa. I zrobił jedyne, co mógł zrobić.

Przejął władzę.

Oczywiście, jak i w wielu innych rzeczach, pomogła mu Kerin. Zawładnęła ciałem służącej, która mieszała uspokajające leki dla szalonego Roseulusa i jej rękami dosypała do ziół trucizny.

W tamtym czasie jedynym logicznym kandydatem na miejsce zmarłego króla był Geshwank. Nawet

zwalczający się nawzajem członkowie Rady w tym jednym się zgadzali. W ich oczach był politycznym geniuszem, lud od dawna w nim właśnie widział przywódcę Kahru.

Maghar osobiście poprowadził śledztwo w sprawie śmierci Roseulusa. Przesłuchał medyka i służącą. Ułatwiły mu to tortury, które za czasów Geshwanka stały się nieodłączną częścią prawie każdego dochodzenia. Medyk powiedział o sonej wysypce na przedramionach zmarłego, objawie przedawkowania senniczki, stanowiącej składnik królewskich leków. Był przekonany, że sam się pomylił. Służąca natomiast zdawała się nic nie pamiętać, a Maghar z wielką chęcią położyłby to na karb szoku.

Nie mógł, ponieważ zrozumiał, co wydarzyło się naprawdę.

– Niech bogowie mi wybaczą – wyszeptał w ciemną noc ponad rok później.

Poświęcił życie, by służyć Kahrowi najlepiej jak potrafił. Zawsze uważał, że polega to przede wszystkim na wierności prawdzie. Starał się żyć w zgodzie z tym przekonaniem. Musiał uczciwie przyznać, że nie udawało mu się tak dobrze, jakby sobie tego życzył. Od pewnego momentu w swojej karierze po prostu musiał zacząć kłamać, jeżeli chciał utrzymać się na szczycie. Nigdy jednak nie nagiął prawdy tak mocno, jak w przypadku śmierci Roseulusa.

Siedział w ciemnej sypialni przy otwartym oknie i coś dławiło go w gardle. Nie łyzy – to było znacznie gorsze, bo nie mogło wypłynąć na zewnątrz.

Tamtą służącą stracono za zabójstwo, a medyka za niedopełnienie obowiązków. To właśnie Maghar poświęcił ich winę.

Mógł zdradzić swojego dowódcę i przyjaciela albo prawdę. Wybrał to drugie.

Nie potrafił jednak pozbyć się wrażenia, że to nie lojalność wobec Geshwanka nim kierowała, ale strach. Brzydził się sobą, gdy o tym myślał.

I wciąż nie był w stanie odpowiedzieć na pytanie: Czy gdyby nie bał się, że pewnego dnia poczuje na karku oddech Zmiennoskórej, wybrałby wtedy inaczej?

*

Upłynął tydzień, a śledztwo wciąż tkwiło w martwym punkcie. Maghar nie rozumiał, jak milicja może pozwalać sobie na podobną zwłokę. W jakiś sposób do pałacu dostał się morderca, i to bardzo biegły w swoim fachu. Ostatecznie Kerin potrafiła o siebie zadbać i trzeba było naprawdę żelaznej woli, by oprzeć się jej mocy przejmowania ciała. Mogła skutecznie obronić się przed prawie każdym. To dlatego nigdy nie chciała straży przed swoją sypialnią, chociaż Geshwank wielokrotnie proponował jej ochronę.

– Pałac to mój dom, kurwa mać – odpowiedziała mu kiedyś, zirytowana nagabywaniami. – Nie będę łąziła po własnych komnatach z kordonem straży.

Zapłaciła za swoją arogancję. Maghar również czuł się winny. Nie było w tym logiki. Po prostu przytłaczał go ciężar straty. Z Kerin łączyła go tylko przyjaźń, ale to wciąż więcej niż nic.

Poza tym źle znosił bezczynność. Irytowała go opieszałość milicji oraz to, że nie bierze czynnego udziału w śledztwie.

W końcu pewnego deszczowego dnia, po nudnym posiedzeniu Rady Stanu, Maghar stwierdził, że nie może już dłużej czekać. Kazał przygotować ulubionego deresza i wkrótce, nawet się nie przebrawszy, wyjechał przez pałacową bramę z czterema służącymi jako eskortą. Mimo wilgoci w powietrzu czuć było ciepło gasnącego lata.

Gdy jechali przez wyłożone świeżym brukiem ulice, Maghar rozglądał się na wszystkie strony. Za panowania Geshwanka Kahr rozkwitał i stolica zmieniała się niemal z dnia na dzień. Restaurowano budynki, burzono rudery, wytyczano nowe ulice i odnawiano stare. Na niektórych placach pojawiły się fontanny, na kolejnych skwery. Także prywatni właściciele dbali o lepszą prezencję; a przynajmniej ci, których było stać na remont. Skończyła się wojna celna z Półwyspem Kupieckim, dzięki czemu rozkwitał handel nawet najbardziej egzotycznymi produktami. Bezwzględność Geshwanka w tłumieniu buntów zapewniała ład i porządek.

W Radzie Komendantów, z której wybierano króla po śmierci poprzedniego władcy, nie było nikogo godnego zastąpić Geshwanka na tronie. Maghar, jako marszałek, mógłby pretendować do korony, ale nie czuł się zdolny do przejęcia obowiązków władcy w razie śmierci króla. A myślał o niej coraz częściej, patrząc na pogłębiające się bruzdy na twarzy przyjaciela i na jego siwiejące włosy.

Gdy dotarli wreszcie do głównej komendy milicji, marszałek poczuł ukłucie żalu. Kiedyś na piętrze tego dużego, klockowatego budynku mieściły się jego kwatery. Teraz zajmował je ktoś inny. Oczywiście nie powinien narzekać: awansował na zaszczytne stanowisko. Mimo to często cniło mu się za dawną pracę. Polityki nie lubił i do niej się nie nadawał. To Dashja Lenar, komendantka łuczniczek w czasach, kiedy on dowodził milicją, powinna nosić złoty płaszcz. Ze swoim zdecydowaniem, doskonałą organizacją i ogólnym szacunkiem, jakim cieszyła się wśród wysokich rangą wojskowych, doskonale się do tego nadawała. Geshwank podjął jednak taką, a nie inną decyzję, robiąc z Lenar poważnego wroga... który to problem Kerin szybko rozwiązała.

Maghar zeskoczył z wierzchowca i rzucił wodze wysokiemu, barczystemu służącemu, wyglądającemu, jakby do pałacu ściągnięto go wprost z areny gladiatorów.

– Czekaście tu na mnie – rzucił.

Po ukruszonych przez czas stopniach wspiał się do masywnych, drewnianych drzwi. Pchnął je mocno.

W siedzibie milicji zawsze panował chaos. Każdy gdzieś biegł, każdy coś robił. Szukano akt w archiwach, spisywano protokoły przesłuchań, analizowano doniesienia szpiegów z kraju i spoza niego. Przez ogromne pomieszczenie, zajmujące prawie cały parter, ciągle przechodziły tabuny mężczyzn i kobiet w czarnych mundurach. Przy stołach wymęczeni funkcjonariusze przeglądali stopy dokumentów, niektórych świeżo do-

starczonych przez szpiegów, innych rozsypujących się ze starości.

Maghar pomyślał tęsknie o czasach, kiedy sam był częścią tej wielkiej maszyny, podpory królewskiej władzy i stabilności Kahru. Przedostał się do wiodących na piętro schodów. Złoty płaszcz wystarczył, by torować drogę. Ludzie, których mijał, salutowali lub kłaniali się lekko. Wszedł na piętro i skierował się prosto do izby dowódcy – niegdyś jego własnej. Pamiętał, że zawsze panował w niej swoisty ład, który lubił nazywać „kontrolowanym chaosem”. Wszędzie, nawet na parapetach, piętrzyły się papiery. Marszałek rzadko wietrzył pomieszczenie, co sprawiało, że powietrze przesyciła przedziwna mieszanka zapachów: kurzu, papieru, tytoniowego dymu i potu.

Pod rządami nowego gospodarza pomieszczenie zmieniło się nie do poznania. Na ścianie wisiał koślawy akt, sztywne krzesła zastąpiły skórzane fotele, a na stole, kredensie i regale z papierami kurzyły się bibeloty. Kasharp rozparł się wygodnie za stołem, a na jego kolanach siedziała młoda służąca. Całując szyję komendanta, przytulała się do jego włochatej piersi, widocznej między połamami rozpiętej koszuli.

Maghar odchrząknął.

Kasharp podskoczył jak oparzony i zrzucił dziewczynę. Upadła na podłogę. Spojrzała na nieznanego, który mimowolnie zerknął na jej wielkie piersi. Okryła je pospiesznie materiałem prostej, brązowej sukienki.

– Wynocha – warknął Kasharp.

Służąca pozbierała się na nogi i uciekła. Kasharp zapinał pospiesznie koszulę, lypiąc na gościa z zażenowaniem.

– Zapraszam, panie marszałku, niech pan spocznie – powiedział cicho.

Maghar opadł na fotel.

– Dobra jest? – spytał, wskazując drzwi.

– Całkiem... całkiem miła.

– To dobrze. W przeciwnym razie uznałbym, że marnujesz czas na pierdoły, zamiast szukać mordercy Zmiennoskórej.

Komendant zeszywniał. Na jego szyi zaczęła pulsować ciemna żyłka.

– Robię wszystko, co...

– Pierdolenie – warknął Maghar.

Po minie Kasharpa poznał, że nie stracił wprawy w zastraszaniu ludzi. Komendant zerkał nerwowo na wszystkie strony, jakby bardzo chciał rzucić się do ucieczki.

– Nie bardzo rozumiem, w czym problem – powiedział wreszcie.

– W tym, że pracujesz w takim tempie, jakbyś zatęsknił za stryczkiem.

Tym razem na twarzy Kasharpa odbiło się autentyczne zaskoczenie.

– Postępuję zgodnie ze wskazówkami Jego Wysokości – wypalił.

Maghar poczuł, że traci grunt pod nogami. Zaciśnął palce na krawędzi stołu, aż zbielały mu kostki.

– Jego Wysokość kazał ci grać na zwłokę? – upewnił się.

Kasharp patrzył na niego uważnie. Znalazł się między młotem a kowadłem. Królewski adiutant mógł go zdegradować i postawić przed sądem, a władca jednym rozkazem pozbawić głowy. Za długo jednak obracał się wśród ważnych osobistości Kahru, by przegapić sygnał słabości, który właśnie wysłał mu Maghar.

– Sądziłem, że pan wie, panie marszałku – rzekł z chytrym uśmiechem.

Maghar potarł gładko ogoloną brodę. Przygryzł na chwilę dolną wargę. Żelazna wola, przypomniał sobie. *Czy Kerin nie wspominała mi kiedyś, że nigdy nie zdolała wślizgnąć się w skórę Raddirzjana?*

– Proszę zachować naszą rozmowę w tajemnicy – powiedział w końcu. – Tak jak i polecenie Jego Wysokości.

– Co mam dalej robić? – spytał Kasharp.

Maghar wstał i spojrzał z góry na komendanta.

– To, co my wszyscy – odrzekł cicho. – Służyć Kahrowi. Wypełniać królewską wolę.

*

Po powrocie Maghar zastał Geshwanka w komnatach jego jedyne dziecko, nieślubnej córki o imieniu Rekhe. Siedzieli w saloniku wyścielanym białym dywanem i zastawionym przez pełne ksiąg regały. Rekhe grała na klawesynie jakąś skoczną melodię. Król zajął skórzany fotel i obserwował dziewczynę, paląc fajkę z prostym cybuchem. Na widok Maghara ledwo dostrzegalnie skinął głową, w odpowiedzi marszałek uklonił się lekko. Rekhe przestała grać i poderwała się

ze stołka. Zerknęła szybko na ojca i dygnęła uprzejmie. Maghar odpowiedział zdawkowym skinieniem głowy, przyglądając się dziewczynie spod oka. Odkąd, zgodnie z ustaleniami sojuszu, została narzeczoną księcia Królestwa Ognia, ubierała się staranniej niż kiedyś. Dziś porządnie uczesała krótkie, ciemne włosy, lekko przypudrowała policzki i uczerwieniła usta. W zwiewnej białej sukience wyglądała jak ucieleśnienie niewinności. W jej szerokim nosie i wąskich wargach łatwo było dostrzec podobieństwo do Geshwanka, ale owalem twarzy, kształtem wielkich, niebieskich oczu, zgrabną sylwetką i, przede wszystkim, zniewalającą urodą przypominała matkę. Kobiętę z Gór Białoszczytu o jasnych włosach i pojedynczym, lśniącym zimnym błękitem oku. Wiedźmę.

– O co chodzi, Ren? – spytał Geshwank.

Maghar drgnął lekko i przygryzł mocno wargi. Wspomniiał, że jeszcze kilka dni wcześniej czuł się okropnie, jak najgorszy skurwysyn, gdy późną nocą potajemnie opuszczał komnaty Rekhe. Sypiał z nią od dwóch lat, kiedy to stała się pociągającą szesnastolatką i przez cały ten czas brzemię tajemnicy ciążyło mu na sercu.

Teraz był prawie pewien, że może rozmawiać z Geshwankiem jak skurwysyn ze skurwysynem.

– Byłem dzisiaj u komendanta Kasharpa – rzucił od niechcienia. – Dowiedziałem się od niego kilku ciekawych rzeczy.

Geshwank westchnął ciężko i wypuścił z ust dym. Wstał, przeszedł do pełnego ksiąg regału i sięgnął po jedną.

– Ren... – zaczął.

Urwał niemal natychmiast i zamarł. Maghar zbliżył się o krok, by zobaczyć, co go tak przeraziło.

Na grzbietach równo ustawionych tomów przycupnęła Zero, najukochańszy z górskich szczurów Kerin. Jego czarne oczy błyszczały. Nastroszył srebrzystą sierść, najwyraźniej równie zaskoczony, jak Geshwank. Przez chwilę wpatrywali się w siebie.

Gryzoń ocknął się pierwszy. Skoczył z regału na podłogę i popędził na ukos przez komnatę, szybko przebijając długimi łapkami. Zakończony kitką ogon wyciągnął do tyłu. Sprężony w niewiarygodnie szybkich susach niczym nie przypominał puszystej kulki, którą był jeszcze chwilę temu.

Geshwank wydał z siebie nieartykułowany dźwięk. Rekhe wrzasnęła piskliwie, gdy jej ojciec chwycił grubą księgę i cisnął nią w Zero. Tomisko trafiło w grzbiet, a straszliwy cios przetrącił kręgosłup. Szczur miotał się na dywanie, skrzecząc z bólu. Jego agonálny krzyk wydawał się niemal ludzki.

Marszałek nie zastanawiał się zbyt długo. W głowie kołatały mu wspomnienia Kerin bawiącej się z tym zwierzęciem, tulącej je do piersi jak dziecko, karmiącej je z ręki. W dwóch krokach zbliżył się do cierpiącego gryzoncia. Uniósł nogę i z całej siły spuścił ciężki buciór na drobne ciało. Pod jego stopą chrupnęły kości, a jednocześnie rozległ się ohydny, mlaszczący dźwięk. Kiedy Maghar się cofnął, Zero leżał na dywanie martwy, ze świeżą krwią schnącą na pyszczku.

Rekhe zachwiała się i uniosła dłoń do ust. W jej oczach wezbrały łzy, które spłynęły po policzkach i dalej, na brodę. Geshwank oparł się ciężko o regał. Wciągnął w usta tytoniowy dym i wydmuchał cały kłęb.

– Rekhe – powiedział Maghar. W gardle miał sucho, jego głos brzmiał ochryple. W każdej innej sytuacji Rekhe byłaby ostatnią osobą, którą poprosiłby o zabranie truchła, ale teraz musiał rozmówić się z jej ojcem sam na sam. – Weźmiesz go?

Dziewczyna gorliwie pokiwała głową. Zbliżyła się i uniosła Zero w złączonych dłoniach, jak kruchy skarb. Maghar spodziewał się raczej, że z obrzydzeniem chwyci gryzonia za ogon. Nie rozumiał też łez dziewczyny, chociaż on również czuł się dziwnie pusto. *Uwielbiała go*, myślał tępo. *Uwielbiała*.

– Wbrew temu, co sądzisz, nie oszalałem – powiedział Geshwank, kiedy Rekhe wyszła. – Zawsze węszyłeś, Ren. Musiałeś rozwiązać nici wszystkich spisków i rozgryźć każdą intrygę. Wystarczyło podsunąć ci trop, żebyś rzucił się na niego jak ogar. – Westchnął ciężko. – Służyłeś Kahrowi szczerze i z oddaniem. Byłeś chyba najwierniejszym, najbardziej lojalnym żołnierzem w jego historii. Ale to już przeszłość – dodał. – Powinieneś to zauważyć, gdy Kerin wykończyła mojego poprzednika. Wiedziałeś, że to ona, a mimo to oskarżyłeś kogoś innego, tę niewinną służącą...

– Z lojalności wobec ciebie – warknął Maghar. – Bo byłeś najlepszym, co mogło spotkać Kahr.

– Wciąż jestem – przypomniał Geshwank. – Ale wysłuchaj mnie uważnie, Ren. Czas zerwać z dawnymi zwyczajami. Nie wiesz wokół śmierci Zmienności.

– To twoja sprawka?

Geshwank milczał przez chwilę, pykając fajkę.

– Chciała nas opuścić. Nie na trochę, jak twierdziła. Nie zamierzała wrócić. – Przygryzł wargę. – Planowała umknąć ze wszystkimi tajemnicami, z wiedzą o moich intrygach, zleconych zabójstwach, planach. Być może czekał już na nią gdzieś stosik złotych monet i ludzie chętni, by kupić tę wiedzę.

– Czy to ty stoisz za tym morderstwem? – spytał twardo Maghar. – Odpowiedz mi.

Geshwank spojrzał na niego beznamiętnie. Maghar dziwił się, że przegapił moment, gdy jego przyjaciel, ten pełen zapału patriota, stał się ślepy na wszystko poza interesem kraju, zdolny mordować w oparciu o kilka niejasnych przesłanek.

– Jeżeli wciąż jesteś wobec mnie lojalny, chcę żebyś nie wtrącał się w tę sprawę i zachował w kwestii Kerin milczenie – powiedział powoli król. – Rozumiesz?

Maghar zacisnął wargi w wąską kreskę i potakująco skinął głową.

– Oczywiście, Wasza Wysokość – odrzekł oschle. – Proszę wybaczyć, że osmielełem się przeszkadzać.

Geshwank obojętnie machnął ręką, głuchy na ironię w jego głosie.

Maghar umówił się z Rekhe w jej sypialni o dziesiątej w nocy. Przeszedł ciemnym korytarzem wiodącym do komnat dziewczyny. Nie pukał do drzwi, by uniknąć nawet najcichszego hałasu. Pchnął je, wszedł do środka i zamarł, oślepiiony światłem świecy. Rekhe leżała pod kołdrą w grubej nocnej koszuli, czytając jakąś książkę. Obok niej, na skraju ogromnego łóżka z purpurowym baldachimem, przysiadł Geshwank. Odwrócił się. Na widok gościa na jego twarzy odmalowało się zdumienie.

Przez jedną krótką chwilę Maghar pomyślał, że Geshwank rżnie własną córkę.

– Co ty tu robisz? – jęknął.

Geshwank się podniósł, a Magharowi wróciła przytomność umysłu.

Szok na twarzy króla ustąpił miejsca zrozumieniu, a następnie wściekłości.

– Ja? – wycedził. – Co ja tu robię? Ty... – Głos uwiązał mu w gardle. – Kurwa! – wydusił wreszcie, krótko i szczekliwie.

Cały gniew skoncentrował na Magharze. Rekhe, chociaż pochodziła z nieprawego łóżka, była jego oczkiem w głowie. Maghar nie obawiał się o jej bezpieczeństwo. O swoje – jak najbardziej.

– Wysłuchaj mnie – poprosił, cofając się o krok.

Usłyszał, jak Rekhe wstaje z łóżka, zapewne chcąc uspokoić gniew ojca. Nie popatrzył na nią, skoncentrowany na wściekłym królu.

– Czego mam słuchać? – warknął Geshwank. – Spójrz na siebie! Jesteś od niej starszy dwa razy!

– Nie zrobiłem nic wbrew jej woli – bronił się rozpaczliwie Maghar.

– Jak długo to trwa?

– Radirzjan, proszę.

– Zabiję cię! – ryknął Geshwank. – Po prostu cię...

Wyciągnął przed siebie ręce, wyginając palce w szpony. Jego twarz wykrzywił paskudny grymas. Oczy rozwarły się szeroko, z gardła dobiegł charkot. Z rozwartych ust wypłynęła cienka, ciemna strużka. Maghar patrzył na to bez zrozumienia, dopóki Geshwank nie jęknął cicho i nie osunął się bezwładnie na podłogę.

Rekhe obejrzała myśliwski nóż, który trzymała w ręce. Wysunęła język i ostrożnie zlizwała z ostrza trochę krwi, należącej do jej ojca. Maghar spojrzał w jasnoniebieskie oczy dziewczyny. Czaiła się w nich nienawiść. Cofnął się o krok. Zrozumienie uderzyło go z siłą gromu.

– Ale dlaczego Rekhe? – wyszeptał zbielełymi wargami.

Dziewczyna roześmiała się. Tego śmiechu nie dało się pomylić z jakimkolwiek innym. Donośny, niski, głęboki, zdawał się płynąć z głębi krtani. Chociaż szczery, pozbawiony był cienia serdeczności. Brzmiała w nim tylko kpina.

– Wielki Radirzjan Geshwank zabity ręką własnej słodkiej córeczki – powiedziała cicho, uspokoiwszy się, wciąż uśmiechnięta od ucha do ucha. – Jaka zemsta mogłaby być piękniejsza? Przyznam, Ren, że to, co znalazłam w główce tej głupiej kozy, cholernie mnie zaskoczyło. Sam fakt, że ją dymałeś, i to dyma-

leś jak dziki... No, nie spodziewałam się tego po tobie. Wejdz, proszę i zamknij drzwi. Nie ściągnęłam cię tu po to, żebyś zaczął wzywać straż, kiedy już i tak jest na to za późno.

Maghar zaczął się trząść. *Straż?*, pomyślał histerycznie. Rzeczywiście, kiedy tu szedł, za zakrętem korytarza widział pałacowego gwardzistę, ale teraz wezwanie kogokolwiek nie przyszło mu do głowy. Czuł się otępiały, jakby szok zupełnie zaćmił mu rozum. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, spełnił polecenie dziewczyny.

– Jak to się stało? – spytał. Szczerze mówiąc, niewiele go to obchodziło, ale rozpaczliwie potrzebował czasu, żeby choć trochę się opanować. – Jakim cudem... przetrwałaś? I kto cię zabił? – Rekhe znowu się roześmiała, tym razem inaczej, jak człowiek, który stanął nad przepaścią i szykuje się do ostatecznego skoku. – Kerin?

Przechyliła głowę.

– Stoimy nad zwłokami króla, a ty dalej swoje „jak?”, „dlaczego?”, „kto?”. Zawsze i wszędzie, rzetelny milicjant. – Westchnęła, poważniejąc. – Jak to się stało? Uciekłam. Ten skurwysyn przyszedł do mnie w nocy, na dymanko. – Wskazała Geshwanka. – Początkowo było jak zwykle. Położył się przy mnie i chwilę rozmawialiśmy, potem znalazł się na mnie. Nagle przycisnął mi do twarzy poduszkę. Walczyłam, jednak on był silniejszy. Poza tym zaskoczył mnie. Po krótkiej szarpaninie wiedziałam, że nie wygram. Wyrwałam się z własnego ciała i ukryłam w Zero. Przewidział, że mogę

zrobić coś takiego. Kiedy ze mną skończył, zabrał się za moje szczury. – Mięśnie jej twarzy drgnęły. – Uciekłam w Zero. Włazłam w siennik na łóżku. Słyszałam, jak walił Lodem i Demonem o stół. Ich śmierć... jakby ktoś mi wyrywał serce! – Jej głos wzniósł się do krzyku. Maghar drgnął, jakby go uderzyła. Dziewczyna dyszała przez chwilę i przełknęła z trudem ślinę. – Moje ciało znalazła pokojowa. – Zaczęła mówić szybko, głosem łamiącym się z emocji. – Ukrywałam się w pałacu, korzystając z ciała Zero. Wtedy, w komnatach Rekhe, było tak blisko. Wślizgnęłam się w nią tak zgrabnie, że nie podejrzewaliście. Widziałam, jak ten pierdolony dupiek dostrzega Zero, widziałam, jak łamie mu kręgosłup, widziałam... – Łzy stanęły jej w oczach. – Lód i Demon boleli, ale to było... to było...

Oddychała chrapliwie. Maghar postąpił niepewnie do przodu. Ręka, w której Kerin zaciskała broń, drgnęła lekko, więc natychmiast się zatrzymał.

– Nie chciałem, by się męczył – wychrypiął.

– Wiem – odrzekła, spojrzała gdzieś w bok, raz jeszcze odgarnęła włosy.

Maghar odetchnął głęboko. Musiał działać, póki ona była rozbita. Wiedział, że jeśli powróci jej gniew, nie będzie miał żadnych szans, by przemówić kobiecie do rozsądku.

– Posłuchaj mnie, Kerin – powiedział. – Zrób ze mną, co zechcesz, ale zostaw Rekhe. Ona nie jest winna twojej śmierci. Nie wiedziała o niczym.

– A ty? – spytała Zmiennoskóra. – Wiedziałaś? Wiem, że tak. Pytanie brzmi: od kiedy?

Maghar zdał sobie sprawę, że nie zna odpowiedzi.

– Ja... bogowie! Nic nie mogłem zrobić. Nic bym nie zmienił. Zostaw ją. – Błękitne oczy Rekhe zwróciły się na niego. Nie mógł rozpoznać ich wyrazu. *I to wcale nie Rekhe na mnie patrzy.* – Rozumiem twój ból, ale dokonałaś zemsty. Rekhe nie ponosi winy przez to, że jest jego córką. Zostaw ją – prosił gorączkowo. – Błagam cię, Kerin. Zrób ze mną, co zechcesz, ale nie krzywdź...

– Wystarczy! – wrzasnęła.

Jej wściekła świadomość wbiła się w Maghara jak pocisk.

Kiedyś poprosił Kerin, by włożyła jego skórę, z czystej ciekawości, jakie to uczucie. Gdy się w niego wślizgnęła, nie zauważył nic. Później przejęła kontrolę nad jego ciałem. Wówczas umysł Maghara zawisł w dziwnym letargu. Mógł tylko tępo obserwować, jak obca wola porusza jego rękami, palcami, nogami. Dziwne uczucie. Nie nieprzyjemne: po prostu dziwne.

Tym razem było inaczej. Kerin zaatakowała jego umysł, wrywając z niego myśli, wspomnienia, wszystko. Zmiażdżyła wolę Maghara, wybebeszyła najbardziej intymne miejsca świadomości. Uderzenie pozbawiło go przytomności, niczym cios obuchem w głowę.

*

Leżał na korytarzu, na policzku czuł chłód kamiennej posadzki. Otaczał go wianuszek ciekawskich służących. Przy nim przykucnął gwardzista, łatwy do rozpoznania po jasnoszarym uniformie. Wszystko

zdawało się kołysać, jakby znajdowali się na pełnym morzu.

Żył.

Usiadł powoli.

– Co się stało, panie marszałku? – spytał gwardzista. – Panienska Rekhe wybiegła od siebie, wrzeszcząc jak szalona. Król ponoć nie żyje. Co się stało?

Maghar uświadomił sobie, że Zmiennoskóra może być w każdym z tych ludzi otaczających go ciasnym kręgiem, a potencjalnie w każdym, kogo kiedykolwiek spotka. Może nawet tkwiła w nim, przyczajona na granicy świadomości, gotowa w razie czego przejąć kontrolę.

Jęknął cicho.

Dostrzegł za plecami ludzi w czarnych mundurach. Dwóch z nich odpędziło służących, którzy cofnęli się w popłochu, i stanęło nad Magharem. Oparł się ciężko o ścianę. Obawiał się, że w przeciwnym razie upadnie.

– Kapitan Neresh, z milicji – przedstawił się jeden z mężczyzn w czerni. – W sprawie śmierci Jego Wysokości.

Maghar zdał sobie sprawę, że nie wie, jak powinien postąpić. Obmyślał jakąś prawdopodobną wersję wydarzeń, kiedy go olśniło. Nie wiedział, czy wyszło od niego, czy od ukrytej w nim Zmiennoskórej. Rozwiązanie wydawało się proste i kiedyś – w czasach, które ostatnio przypomniał mu Geshwank, również należący już do przeszłości – wpadłby na nie od razu.

Musiał jedynie powiedzieć, jak było naprawdę.

Część pierwsza

ZIELONY

I

Ren Maghar wracał do domu wczesnym rankiem, z głową pełną tłuczonego szkła, skołowaciałym językiem i podbitym w niewyjaśnionych okolicznościach okiem. Zimny wiatr szarpał jego steranym płaszczem, a mżawka przyklejała długie, ciemne włosy do czoła. Wyszedł z za zakrętu w wąską uliczkę z koślawo położonym brukiem i serce zamarło mu w piersi.

Przed jego domem, na wiodących do drzwi schodkach, siedzieli milicjanci ubrani w czarne mundury i płaszcze. Z ich żarzących się fajek buchały kłęby tytoniowego dymu. Wszyscy mieli długie, ciemne włosy, schludnie związane na karkach. Rozmawiali cicho, korzystając z ochrony niewielkiego daszku nad wejściem.

Maghar zacisnął dłonie w pięści i ruszył ku nim szybkim krokiem. Przez mgłę bólu przebiło się do jego świadomości dławiące poczucie końca, nieprzyjemnie podobne do rozpaczy. Domy, w których zagościła milicja, zawsze były oznaczone jej piętnem.

Dostrzeżono go. Żołnierze powstali niechętnie, łypiąc na niego pogardliwie i wrogo. Gdy przechodził, jeden chwycił go za ramię, ale Maghar strącił gniewnie rękę, otworzył drzwi i wszedł w wąski, ciemny korytarz.

– W kuchni – powiedział któryś z żołnierzy.

Łomocząc ciężkimi buciorami po drewnianej podłodze, Maghar dotarł do odpowiednich drzwi i otworzył je szarpnięciem.

Przez wielkie, przeszklone okno sączyło się szare światło dnia. Pod sufitem zwisały pęki ziół, sznury kiełbas oraz kosze z warzywami. Dwóch żołnierzy w czarnych płaszczach grzebało w przepastnym kredensie i stojących na palenisku garnkach. Za ogromnym, brzo-zowym stołem siedziała siostra Maghara, Baria, tuląc córkę. Jej mąż stał pod ścianą, pilnowany przez kolejnego żołnierza. Ederyk Kasharp, w srebrnym płaszczu komendanta, rozparł się na ławie naprzeciw Barii. Obok posadził czteroletniego Radirzjana. Obejmował chłopca jednym ramieniem, a w drugiej ręce obracał wojskowy nóż. Niema, ale bardzo czytelna groźba.

– Miło cię widzieć, Ren – powiedział na powitanie.

– Usiądź. Musimy porozmawiać.

– Nakaz – wycedził ochryple Maghar.

Z gniewu ledwie był w stanie rozewrzeć szczęki, mięśnie policzków drgały pod smagłą skórą. Sądził, że

głowa nie może boleć go bardziej. Mylił się. Czuł, jak w jego czaszkę wbijają się kolejne szpilki bólu.

– Słucham? – Komendant uniósł krzaczaste, smoliste czarne brwi.

– Nakaz przeszukania domu mojej siostry.

– Jestem komendantem, Ren. Nie potrzebuję nakazów.

– Nie potrzebujesz – zgodził się opornie Maghar.

Usiadł na ławie obok Barii. Kasharp z zadowoleniem skinął głową. Schował nóż do pochwy u pasa.

– Zostawcie nas – powiedział. – Wszyscy. – Gdy Radirzjan chciał zeskoczyć z ławy, przytrzymał go. – Ty zostajesz, kochany.

– Zbyteczne i podłe – uznał marszałek, kiedy pozostali ruszyli do drzwi.

Baria posłała mu pełne rozpaczy spojrzenie. Było w nim wszystko, czego nie mogła wypowiedzieć – prośba o ocalenie dziecka, ufność, rozpacz matki. Maghar nie ośmielił się wykonać żadnego uspokajającego ruchu. Milicjanci woleli, gdy ich ofiary nie czuły się zbyt pewnie, nie zamierzał więc prowokować intruzów. Po krótkiej chwili wahania mąż objął Barię ramieniem i wyprowadził z kuchni.

– Nie zaproponujesz mi nic do picia? – spytał Kasharp.

– Nie – odrzekł Maghar. Przeniósł na niego wzrok i przy okazji dostrzegł, że chociaż Radirzjan siedział prosto i dumnie, jak małemu Kahrańczykowi przystało, w jego oczach błyszczały łzy strachu. – Czego chcesz? Jakim prawem nachodzisz moją rodzinę, grozisz mojemu siostrzeńcowi i...

Kasharp wyciągnął z rękawa czarnej koszuli rulon papieru i rzucił go na stół.

– Czytaj – zachęcił.

Maghar nieufnie sięgnął po pismo, rozwinął je i przebiegł wzrokiem. Dwa razy. Litery rozjeżdżały mu się przed oczami. Tętniący pod czaszką ból nie pozwalał skupić się na treści.

– Nintan Itonoka... – zaczął, niepewny, czy dobrze zrozumiał.

– Tak, uciekł z Lochów Trolli. To potwierdzona informacja.

– Jak to możliwe?

– Zabawne – powiedział cierpko Kasharp. – Król zadał mi to samo pytanie. – Wstał od stołu, otworzył stary kredens i wyciągnął z niego kielich oraz butelkę wina. – Najważniejszy więzień w najlepszym strzeżonym więzieniu Kahru, które samo w sobie jest fortecą. A jednak ktoś wdarł się do wnętrza, pozabijał strażników i uwolnił Itonokę. – Nalał i wypił duszkiem zawartość naczynia. – Kto? – mruknął ochryple. – Jak? Po co? Kogo obarczyć winą? Muszę znaleźć odpowiedzi, zanim król postanowi pozbawić mnie głowy.

Maghar uśmiechnął się kpiąco.

– Mam ci współczuć? – prychnął. Radirzjan zeskończył z ławy i podbiegł przytulić się do niego. Maghar objął go ramieniem, chcąc nieco uspokoić chłopca, wciąż jednak patrzył na Kasharpa. – Dzięki mnie zostałeś komendantem. Kiedy przyszło co do czego, spłaciłeś dług, odbierając mi wszystko...

– Zostałeś oskarżony o królobójstwo – przypomniał Kasharp. – Nie mogłeś dalej sprawować funkcji marszałka Rady Stanu.

– Nie o funkcję mi chodzi – wycedził gniewnie Maghar. – O mój stopień, moje dokonania i moje życie. Nie znalazłeś na mnie dowodów.

– Twoje wyjaśnienia nie były przekonujące – odrzekł Kasharp, znów napełniając sobie kielich. – To wszystko jest nieistotne – dodał. – Potrzebuję twojej pomocy.

– Potrzebujesz jelenia do odwalenia roboty, z którą sobie nie radzisz – warknął Maghar. – To chciałeś powiedzieć?

– Chodzi o dobro twojej siostry i jej rodziny. – Kasharp wyraźnie wołał grozić, niż odpowiadać na pytania.

Wypił ponownie i spojrzał na Maghara. Ten mierzył go przeciągłym spojrzeniem ciemnozielonych oczu. Tulił do siebie Radirzjana, bezwiednie głaszcząc jego czarne włosy. Walczył z fizycznym bólem, tłumionym strachem, zmęczeniem i przytłaczającym go przez ostatni rok rozżaleniem. A ten drań stał sobie, sączył wino i groził ludziom, których jedynym związkiem z milicją było pokrewieństwo.

– Jesteś gnojem – wycedził Maghar.

– Ja też mam życie i pozycję, których nie chcę stracić – odrzekł Kasharp. – Moi ludzie szukają, ale nie mają żadnego tropu. Ty coś znajdziesz.

– Masz pod rozkazami doborowych żołnierzy – warknął Maghar. – Najbardziej elitarną formację

w całej armii. Uważasz, że mogę znaleźć coś, co oni przeoczyli?

– Musisz znaleźć coś, co oni przeoczyli – sprostował Kasharp. – Albo pożegnaj się z siostrzeńcem.

Mięśnie w szczękach Maghara zadrgały, gdy w bezsilnym gniewie zacisnął zęby.

– Wynoś się stąd – wycedził. – Wynoś się z domu mojej siostry i nie waż się więcej postawić tu stopy.

– Daję ci miesiąc, Ren – powiedział z powagą Kasharp. – Przez ten czas dowiedz się czegokolwiek. W przeciwnym razie porozmawiamy inaczej.

Komendant wysączył ostatni kielich wina i wyszedł z kuchni, zamiatając podłogę srebrnym płaszczem. Za nim wymaszerowali żołnierze.

Chwilę później przez drzwi wpadła Baria. Rzuciła się do Radirzjana, który natychmiast przestał tulić Maghara i skoczył w ramiona matki. Kobieta uklękła na podłodze. Przyciskała dziecko do piersi, a z jej oczu spływały łzy. Zadygotała, targana szlochem.

Jej mąż, Poderyn, dwoma wielkimi krokami pokonał odległość dzielącą go od Maghara. Chwycił go za przód płaszcza i poderwał na nogi.

– Ty! – wycedził. – Wiedziałem, że będą z tobą pieprzone kłopoty!

Maghar odepchnął jego ręce i uderzył Poderyna w pierś, aż ten zatoczył się do tyłu i zahaczył biodrem w blat. Baria rozchyliła lekko usta, zapominając o łzach. Stojąca w progu sześćioletnia Nimro krzyknęła cicho.

– Żołnierze – wycedził Poderyn, masując obite miejsce. – Elita Kahru. Nieskalane uczciwą pracą nieroby, wszyscy, bez wyjątku, tak samo aroganccy. Popełniłem błąd, przyjmując cię pod swój dach.

– Nic straconego – zapewnił Maghar. Wciąż buzował w nim gniew, podsycony kacem i świadomością, że teraz los wszystkich obecnych w kuchni zależy od niego. Czuł się, jakby na barkach spoczął mu nagle ciężar całego świata. – Wychodzę.

Ruszył do drzwi. Siostra skoczyła na nogi i chwyciła go za ramię. Mąż próbował ją powstrzymać, ale odtrąciła jego rękę. Patrzyła na Maghara, a na jej delikatnej, pociągłej twarzy malowało się napięcie.

– Wróć – zapewnił Maghar z czułością. – Gdy tylko znajdę coś dla tego skurwysyna.

Zdjął dłoń siostry z ramienia, pocałował jej wierzch, pogłaskał po głowie stojącą w progu Nimro i po chwili był już na zewnątrz.

Padało jeszcze mocniej niż przed chwilą. Chłód przeniknął Maghara do szpiku kości. Owinął się szczelniej płaszczem. Wcisnął zmarznięte ręce pod pachy, żeby trochę rozgrzać zgrabiące palce. Głowa wciąż pękała z bólu; z niewyspania dwoiło mu się w oczach, ale przynajmniej wiedział, dokąd powinien iść.

*

Pod murami Domu Pierwszych Zdobywców rozciągały się dzielnice nędzy. Przyklejone do siebie lepianki, szałaszy ze szmat, rozwalone domy i zabłocone ulice zamieszkiwało miejskie robactwo. Żebracy, biedota, imi-

granci i złodzieje zakładali tam cuchnące gniazda, by nocami rozpełzać się na resztę miasta. Kiedyś panował tu względny porządek, ale królewski skarb przez ostatnie dwa lata cienko prządl i nie starczało już pieniędzy na finansowanie licznej straży miejskiej.

Maghar szedł przez śmierdzące zaułki, w których wrzało jak w ulu. Czuł się otępieły, jakby ktoś wypchał mu czaszkę watą. Wszystko było odrealnione, on sam reagował powoli. Próbował przypomnieć sobie, kiedy ostatnio spał, prawdziwie, dla wypoczynku, a nie dlatego, że wychylił o dzban za dużo. Nie dziś, nie wczoraj, chyba nawet nie przedwczoraj. Minął kilku mężczyzn w brudnych szmatach na grzbietach, którzy obsiedli skrzynie przed nędzną speluną z czerwoną latarnią nad wejściem. Kobieta z umorusaną twarzą i brudną chustą na włosach potrafiła go, prawie upuszczając pranie. Maghar wymamrotał przeprosiny i ruszył dalej. Banda dzieciaków, goniąc za skamlącym szczeniakiem, przewróciła jednookiego żebraka i popędziła dalej, ignorując ścigające ją przekleństwa.

Stanął przed starym, zrujnowanym zakładem lichwiarskim. Resztką szyldu pokrytego złotą emalią kołysała się niemrawo na jedynym ocalałym zawiasie. W oknach zostały strzaskane resztki szyb, dodatkowo zabito je od wewnątrz deskami. Na zniszczonych schodkach przed odrapanymi drzwiami siedział młokos z ciemnymi kłaczkami zarostu na twarzy i bawił się wielkim, zardzewiałym nożem.

– Chcę widzieć się ze Ślepcelem – powiedział do niego Maghar.

– Chuja tam – odrzekł chłopak. – Jest zajęty.

Wyszczerzył w uśmiechu wybrakowane zęby i podrzucił nóż przed nosem przybysza, który złapał broń w locie, a chłopaka chwycił za ubranie i podniósł na nogi. Chamskie odpowiedzi były ostatnim, czego szukał.

– Chcę widzieć się ze Ślepcem – powtórzył łagodnie, przykładając smarkaczowi nóż do szyi. – Powiedz mu, że Ren Maghar przyszedł.

Chłopak wyrwał się gwałtownie, zostawiając mu w palcach strzęp brudnej, poprzecieranej koszuli, i wszedł chwiejnie po schodach. Utykał mocno, brakowało mu lewej stopy. Drzwi się zamknęły. Maghar obejrzał nóż i wsadził go do wysokiego, sznurowanego buta. Już dawno nauczył się, że broń zawsze się przydaje. Chociaż na nocne popijawy jej nie nosił, bo oskarżenie o morderstwo po pijaku byłoby ostatnim gwoździem do trumny jego zszarganej reputacji.

Wkrótce pojawiła się może dwunastoletnia dziewczynka, blondyneczka o słodkiej twarzy, ubrana w bardzo prostą, poplamioną i wyraźnie zszarganą sukienkę z burej wełny.

– Ślepiec cię przyjmie – oznajmiła wysokim głosem.

Maghar wszedł za nią do zakurzonego korytarza, cuchnącego kocim moczem i myszami. Zza uchylonych drzwi straszyły brudne, zagracone pomieszczenia, ale dziewczynka poprowadziła go do kłapy w podłodze i po spiralnych schodach w dół, do piwnicy.

Tutaj wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż na parterze. W długim korytarzu z bielonymi ścianami

wisiały wyblakłe obrazy i podniszczone arrasy. Za jedyne źródło światła służyła samotna lampa pod sufitem. Blondyneczka otworzyła boczne drzwi i przepuściła Maghara w progu.

Duże pomieszczenie urządzono starannie i komfortowo. Miękkie leżanki, rzeźbione meble, krzesła z wysokimi poręczami, skóra pustynnego lwa – wszystko byłoby piękne, gdyby nie brud oraz ptaki. Te ostatnie wypełniały całą przestrzeń swą rozwrzeszczaną obecnością. Skakały na oparciu sofy, kreśliły koła pod sufitem, tłukły o ściany, dziobały meble, wrzeszczały, świergotały, pożerały rozsypane w licznych, otwartych klatkach nasiona. Ich odchody znaczyły bielą każdy skrawek mebli, pierze zalegało na podłodze. Był tutaj przerażony młokos bez stopy oraz dwóch osiłków o jasnej karnacji obcokrajowców, z krótkimi mieczami u pasów i puszystymi blond włosami. Wszyscy siedzieli na ziemi lub niskich pufach wokół ustawionego pod wielkim żyrandolem krzesła o połączonych poręczach, na którym rozparł się chuderławy starzec, pomarszczony i niemal zupełnie łysy. Ptaki skakały po nim i podstawiały się pod pieśczoć wykręconych dłoni. Starzec zwrócił na Maghara ślepe, błękitne oczy.

– Witaj, panie marszałku – zaskrzeczał.

Zaczął rechotać. Jego świta roześmiała się spolegliwie. Maghar jedynie uśmiechnął się pod nosem, pomimo bólu głowy, w który ten śmiech wbijał się jak taran. Nie zamierzał dać się sprowokować w tak prymitywny sposób. Wyciągnął z buta nóż i cisnął nim w Ślepca.

Ostrze wbiło się w oparcie krzesła dość daleko od głowy starca. Ten umilkł natychmiast. Jego przyboczni dobyli broni. Dziewczynka za plecami Maghara chwyciła opartą o ścianę kuszę.

– Tracisz celność – stwierdził Ślepiec. Wymacał nóż i wyszarpnął go zdecydowanym ruchem z aksamitnej poduszeczki w oparciu. – Była częścią twojego oficerskiego patentu? – Założył nogę na nogę. Spod otulających go koców wyrzało blade, kościste kolano. Zleciała na nie ogromna, barwna papuga. – Co cię do mnie sprowadza? Zatęskniłeś za grobem?

– Uważaj. Mam jeszcze kilka noży lepiej wyważonych niż ten – skłamał były marszałek. – Straciłem stopień, ale działałem na polecenie milicji i...

– Na pewno powiedziałeś wszystkim, gdzie się wybierasz – stwierdził Ślepiec, uśmiechając się paskudnie.

– Zostawiłem w sejfie list do komendanta Kasharpa, mojego starego przyjaciela. Wyjawiłem w nim wszystkie twoje tajemnice. Gdy wrócę cało do domu, spalę go w kominku. W przeciwnym razie moja siostra go znajdzie. – Maghar dalej igał jak z nut. Otępienie nie pozwalało mu się za bardzo skupić, nie był więc pewien, czy wszystko, co mówi, trzyma się kupy. – Zawsze chętnie mi pomagałeś.

– Tak – przyznał Ślepiec. Poglaskał papugę, która w odpowiedzi dziobnęła go w dłoń. – Gdy byłeś komendantem, zjawiałeś się otoczony najwierniejszymi ludźmi, miałeś władzę i moc sprawczą. – Wysunął z bezzębnych ust język i oblizał wargi. – Oddawałem ci mój towar w zamian za milczące pozwolenie

na dalszy handel i cóż z tego mam? Straciłeś władzę, twój szantaż już nic nie znaczy. Nasz mały układ nigdy nie wyszedł na jaw. I już nie wyjdzie – dodał. – Nie jesteś głupcem. Nie zostawiłeś listu. Takie pismo zgubiłoby cię ostatecznie. Gdyby odkryto, że komendant milicji posiłkował się w czasie swojej pracy wiadomościami kupionymi od złodziei, morderców i ladacznic...

– Od Ślepca – sprostował Maghar. Pragnął paść na ziemię i wyć, a zamiast tego zmusił wypełniającą jego czaszkę watę do kolejnego wysiłku, zaś wyschnięte gardło do artykułowania racjonalnych wypowiedzi – który wyciąga te wiadomości ze złodziei, morderców i ladacznic, używając do tego watahy siepaczy. – Rozejrzał się za jakimś miejscem do siedzenia. Wreszcie wybrał niską pułę, poznaczoną, oczywiście, odchodami ptaków. – Obawiam się, że mnie nie doceniasz, staruszk. Moja reputacja leżała w gruzach, gdy oskarżono mnie o królobójstwo. Nie mam nic do stracenia. Każ mnie zabić, a znajdą mój list. Wyrzuć mnie na bruk, a podam cię na tacy straży miejskiej i sędziom, którzy dobrze pamiętają o twoich dawnych morderstwach.

– Informacje za święty spokój, jak zwykle. – Ślepiec pokiwał łysą głową. – Jesteś okrutnym człowiekiem. Za bezcen wywlekasz ze mnie owoce ciężkiej pracy. – Westchnął ciężko. – Co chcesz wiedzieć?

Nareszcie do czegoś dochodzili. Maghar przymknął z ulgą oczy i wyrzucił z siebie dwa kluczowe słowa:

– Lochy Trolli.

– Ogromne więzienie – stwierdził skwapliwie Ślepiec. – Doprawdy, paskudne miejsce. Nie chciałbym tam skończyć.

– Nie udawaj durnia. Musisz wiedzieć, co tam się stało.

Ślepiec zachichotał.

– Itonoka, tak... ten człowiek spędzał dostojnikom sen z powiek, dopóki nie rozprawił się z nim Geshwank. Miał taką charyzmę, że w kilku słowach zjednywał sobie ludzi. Był świetnym komendantem, jeszcze lepszym marszałkiem Rady Stanu... i byłby doskonałym królem.

– Znałem go lepiej niż ty – przerwał Maghar. Chciał wrócić do domu, położyć się, pomyśleć, chociaż wtedy zaczęłby wspominać ten straszny rok, a żal znów pchnąłby go w kierunku alkoholu. Sam nie wiedział, czego pragnie. – Mów do rzeczy.

Ślepiec westchnął ciężko.

– Itonoka uciekł – dodał bardziej rzeczowym tonem. Wyprostował się na swoim krześle, jakby nagle odmłodził o kilka lat. – Uciekł i nikt tak naprawdę nie wie, w jaki sposób. Z pewnością miał pomoc z zewnątrz. Ktoś musiał pozabijać strażników, otworzyć drzwi jego celi i wyprowadzić go. – Ślepiec uniósł znacząco palec. – Pamiętaj, że to Lochy Trolli. Tamtejsi więźniowie nie grzeszą dobrą kondycją. Wątpię, czy Itonoka był w stanie przejść na własnych nogach więcej niż kilkanaście kroków.

– Czy muszę ciągnąć cię za język? – zniecierpliwił się Maghar. – Kto?

Ślepiec przez chwilę mlaskał, obracając językiem w bezzębnych ustach.

– Nie wiem – odrzekł wreszcie. – Żaden złodziejski cech nie chce się przyznać do włamania. Moi donosiciele nic nie wiedzą. Mówią tylko, że kurwa komendanta Lochów słyszała w czasie ataku strzały.

– Strzały? – powtórzył z ożywieniem były marszałek. To było coś. Trop, początek nici, rzecz, wobec której dojmujący ból głowy słabł. – Dlaczego milicja nic o tym nie wie?

Ślepiec podrapał się po spiczastym podbródku.

– Nie wie? – powtórzył. – Zastanów się, przyjacielu. Nasz najjaśniejszy król popełnia błąd za błędem. Brak mu dobrych doradców, a ci których ma prawdopodobnie chcą jego rychłej śmierci. To pijak. Odmawia Królestwu Ognia pomocy w przejściu Półwyspu Kupieckiego. Odrzuca rękę panny Vashay Morweny, jednej z najszlachetniejszych dam spokrewnionej z dynastią Viseriyów. Nasi zachodni sąsiedzi i tak wykazali się godną podziwu cierpliwością. Jak odebrałby oskarżenie o uwolnienie więźnia politycznego? – Zawiesił głos. – No, ale ostatecznie wojsko Dzieci Ognia to nie jedyne oddziały na świecie mające dostęp do broni palnej – dodał.

– Nie?

– Nie – potwierdził Ślepiec. – Jest jeszcze Czerwona Żmija.

– Ten banita?

– Polityczny wyrzutek, taki sam jak Itonoka – sprstował Ślepiec. – On również dysponuje licznymi siła-

mi. Rozbójnikami, nie regularnym wojskiem, ale jednak ludźmi steranymi w bojach. Mówią, że Czerwona Żmija ma ogromne wpływy wśród bogaczy Królestwa. Dlatego dysponuje karabinami, których tajemnicy Dzieci Ognia tak pilnie strzegą. Płaci za to słono, nie mniej dzięki temu wyrósł przez lata na kogoś znajdującego się ponad prawem.

Kilka ptaków wszczęło bójkę nad rozsypanym na podłodze ziarnem. Wśród nich prym wiódł wielki kruk, wściekle dziobiąc barwne, egzotyczne papugi, które usiłowały odebrać mu łup. Skrzeki zwierząt wypełniły pomieszczenie.

– Oskarżasz Czerwoną Żmiję? – spytał wreszcie Maghar, stwierdziwszy, że w obecnym stanie nie wyciągnie żadnych sensownych wniosków z wypowiedzi Ślepca.

– Powinieneś nauczyć się czegoś o pochopnych sądach – zauważył starzec. – Czerwona Żmija dysponuje bronią palną, być może jako jedyny poza regularnym wojskiem Królestwa Ognia. Jest ambitny i całkiem prawdopodobne, że chciałby przejąć władzę w Królestwie. Jeżeli dobrze pamiętam, Itonoka miał podobne cele, zanim został skazany.

– To przez nie został skazany – przypomniał Maghar. Ślepiec uśmiechnął się.

– Tak brzmi nieoficjalna wersja – potwierdził. – Przyznasz, że ci dwaj mają ze sobą wiele wspólnego. Z drugiej strony Itonoka nie jest głupcem. Wątpię, by jego jedynymi poplecznikami byli siepacze Żmii. Tylko dureń by im zaufał.

– Sądziysz, że Itonoka zaplanował własną ucieczkę?
– spytał przybysz.

– Czy powiedziałem coś takiego?

– Wydajesz się przekonany, że ma jakiś konkretny plan działania.

Ślepiec westchnął ciężko.

– Wiesz, panie Maghar, że bez pana milicja się stoczyła? – zagadnął.

– Zauważyłem.

– Są głusi. Nic nie wiedzą. Rozumiem, że ty przez ostatni rok nie interesowałeś się zbieraniem wieści na własną rękę.

Maghar uśmiechnął się krzywo.

– Przez ostatni rok byłem przesłuchiwany, torturowany i zachęcany do przyznania się do czynu, którego nie popełniłem – odrzekł. – Zniosłem to wszystko tylko po to, żeby zostać okrzyknięty mordercą, którego nie powieszono z braku dowodów.

– Królobójcą – poprawił Ślepiec.

– Owszem.

– I nie przyszło ci do głowy, żeby zbierać i sprzedawać informacje? Nie przeżyłbyś długo, pozostawiony na pastwę losu. – Ślepiec zachichotał. – Utrzymuje cię rodzina siostry, prawda? Jak ona zareagowała na wieść o ucieczce Itonoki?

Gdyby Maghar rzeczywiście miał nóż, użyłby go teraz. *Jak on śmiał, ten nędznik, ten kaleka, jak śmiał nawiązywać do wydarzeń tak bolesnych...*

– Nie zmieniaj tematu – warknął.

Starzec zaśmiał się.

– Strzałka, kochanie, wciąż celujesz do niego z kuszki? – spytał. – Znam ten ton i wolałbym przeżyć. – Odchrząknął. Stado małych, biało-niebieskich ptaków zleciało mu na ramię, po którym zaczęły skakać, trelując głośno. Ślepiec nie zwrócił na nie uwagi. – Znasz Brunera Tartoka, prawda? Dwa czy trzy miesiące temu była u niego kobieta nazywana Szczurzą Panią. Ten szmaciarz nie chciał mi powiedzieć, o czym rozmawiali. Idź, spytaj go o nią – zachęcił. – Milicja chyba o niej jeszcze nie słyszała.

– Co z tą kobietą?

– Spytaj Tartoka. On ci powie – powiedział ze znużeniem Ślepiec. – Ja mam już dosyć, poza tym nie wiem o niej zbyt wiele.

Maghar westchnął.

– Bruner Tartok? – powtórzył. – Wiesz, co on porabia?

– Wiem, że mieszka tam, gdzie dawniej – odrzekł starzec. – Idź już. Daj odpocząć biednemu kalece. Strzałka odprowadzi cię do drzwi.

*

Następnego dnia wyjechał na koniu wypożyczonym za kilka srebrnych poza miejskie bramy. Po ostatnich ulewach wreszcie pokazało się słońce. Wiał przenikliwy wiatr, tchnący już zimą. Na zachodzie, północy i południu jaśniały masywy Gór Białoszczytu, tworzące wokół Domu Pierwszych Zdobywców zaśnieżone półkole. Maghar skierował jednak konia na północny-wschód i ruszył przez porośnię niski-

mi roślinami wzgórza. Rozsiane chaotycznie domki rolników idealnie wpisywały się w malowniczy krajobraz. Na polach oczyszczano zagony z resztek, zbierano roszpukę, kalarepę i pomidory. W sadach sadzono młode drzewka, zbierano jabłka oraz gruszki. Pożółkłe trawy kołysały się na opustoszałych łąkach, gdzie nie wypasano już bydła.

Maghar bezlitośnie poganiał wierzchowca. Czuł się o wiele lepiej niż poprzedniego dnia. Cały czas był świadomy groźby wiszącej nad jego rodziną, ale mimo wszystko cieszył się, że wreszcie może coś zrobić i nie jest zupełnie bezużyteczny.

Już koło południa dojrzał posiadłość Brunera Tartoka. Wysoki parkan ogradzał ogromny teren, na którym wzniesiono malowniczy dworek.

Maghar przejechał po mostku przerzuconym nad niewielkim strumieniem i wydeptaną dróżką przez tylną bramę, otwartą na oścież. Przyjrzał się domostwu. Ogromny budynek, kryty gontem, miał dwa kominy i mnóstwo przeszklonych okien. Po jego ścianach wspinały się winorośl oraz pnące róże. Jakaś służąca, idąca z praniem, rzuciła za Magharem zdziwione spojrzenie, gdy mijał zabudowania gospodarskie. Z psiarni wybiegły psy, trzy spore wyżyły o ciemnobrązowej sierści. Obszczeakały przybysza, szybko jednak dały sobie spokój i zawróciły. Na ganku, między okrągłymi filarami, leżał wielki, czarny kundel o ciężkiej, szerokiej głowie i małych, klapniętych uszach. Na widok gościa usiadł. Ważył co najmniej osiem kamieni i sprawiał wrażenie zdolnego do urwania komuś ręki.

Przybysz zatrzymał konia przed frontem domu i zeskoczył na ziemię. Czarny pies szczeknął basem, po czym skoczył ku niemu. Zarył łapami w ziemię o krok od Maghara. Jego białe zębiska zgrzytały z każdym kłapanięciem paszczy, rozsiewając wokół ślinę.

Na ganek wyszedł służący, sądząc po jasnej karnacji, pochodzący z Półwyspu Kupieckiego. Zmierzył całą scenę pogardliwym spojrzeniem i krzyknął:

– Czego tu szukasz, żebraku?

W porównaniu z nim, wystrojonym w wełnianą koszulę i ciepłe spodnie, owiniętym dodatkowo czystą, brązową opończą, Maghar rzeczywiście wyglądał jak nędzarz. Zignorował obraźliwy ton służącego i odrzekł:

– Chcę się widzieć z Brunerem Tartokiem.

– Jasne, a ja chcę zostać królem Kahru – zarechotał służący.

Maghar był lepiej przygotowany do rozmowy z Brunerem niż na spotkanie Ślepcy, myślał też o wiele sprawniej. Sięgnął pod płaszcz, namacał rękojeść wojskowego miecza i jednym płynnym ruchem wydobył broń.

Czarny pies warknął krótko i skoczył. Uderzył potężnym cielskiem w Maghara, który upadł na plecy, aż zaparło mu dech. Wpakował między szczęki zwierzęcia przedramię i jednocześnie pchnął mieczem w miękki brzuch. Przygniotło go ciężkie cielsko. Pies jeszcze żył, a Maghar zepchnął go z siebie. Chwiejnie podniósł się na nogi i wyrwał z trudem zwierzęciu, które upadło na bok. Próbowало jeszcze wstać, warcząc głucho, ale tylne łapy rozjeżdżały się

mu na boki. Spomiędzy rozwartych szczęk wysunął się różowy język.

Służący z wrzaskiem rzucił się ku drzwiom i znikł w domu. Lewe przedramię Maghara pulsowało bólem. Krew sączyła się przez rękaw spłowiałej koszuli. Przestraszony koń kłusem zmierzał ku stajniom.

Maghar wyrwał miecz z trzewi konającego psa, opierając stopę na jego boku. Służący powrócił. Za nim biegło dwóch strażników, uzbrojonych w miecze i kusze. Jeden zatrzymał się na ganku, by naładować broń. Drugi ruszył prosto na Maghara, który czekał, dysząc ciężko. Nie spodziewał się miłego powitania, ale nie chciał zaczynać pogawędki od rozlewu krwi. Zwłaszcza swojej.

Strażnik zaatakował cięciem z góry. Maghar skontrolował, ale wrogie ostrze skaleczyło go w ramię. Podciął przeciwnikowi nogi, tamten zwałił się na plecy. Z tej pozycji strażnik kopnął Maghara w krocze. Trafiony kwiknął, zwinął się i upadł na kolana. Zacisnął zęby oraz powieki, przycisnął czoło do wydeptanej ścieżki i czekał cierpliwie, aż przeminie najgorsze cierpienie.

Poczuł, że go podnoszą. Zdołał ustać na nogach. W tej chwili zza węgła dworku wypadło z tętaniem czterech konnych otoczonych kłębami kurzu. W ślad za nimi biegła sfera wyźłów oraz łaciatych gończych.

Pierwszy jeździec osadził siwka tuż przed strażnikami. Był wysokim, otyłym mężczyzną, owiniętym w futro z rudych lisów. Ciemne włosy układały się w loczki wokół wysokiego czoła. Schludny, opadający

na kark kucykc zdobyła żółta kokarda. Miał garbaty nos, wylupiaсте, małe oczy i mięsiste wargi.

– Ren Maghar! – krzyknął tubalnie. – Co ty tu robisz? W dodatku w takim stanie?

Maghar uśmiechnął się cierpko.

– Wpadłem w odwiedziny – odrzekł. – Stęskniłem się, Brunerze.

– Może nawet bym się ucieszył, gdyby twoje odwiedziny kiedykolwiek przyniosły coś dobrego – stwierdził Bruner Tartok. – Zabierzcie go do środka, niech doprowadzi się do ładu, na litość wszystkich bogów.

Strażnicy spojrzeli na siebie, a jeden zerknął gniewnie w kierunku mężczyzny, który rozpoczął całą aferę. Później dwaj mężczyźni poprowadzili Maghara na ganek. Służący otrząsnął się ze zdumienia na tyle, by otworzyć przed nimi drzwi.

Znaleźli się w obszernym pomieszczeniu. Na podłodze leżał wielki, okrągły dywan w kwieciste wzory. Obciążone białą skórą leżanki i fotele, jak również pomalowane bladożółtą emalią stoliki i krzesła, miały pięknie rzeźbione nogi. Pomieszczenie urządzone w sposób zupełnie chaotyczny. W rozstawieniu mebli nie było nawet krztyny porządku czy sensu.

Służąca w sukience z brązowej wełny i ramionami okrytymi burym szalem klęczała przed ogromnym kominkiem, w którym jasno płonął ogień.

– Czarna, zajmij się gościem – warknął na nią jeden ze strażników.

Kobieta uniosła głowę. Miała może trzydzieści pięć, czterdzieści lat. Jej skóra rzeczywiście była czarna, a włosy i oczy ciemne. Wstała, aż strzyknęło jej w kolanach.

– Proszę – wymamrotała po kahrańsku, po czym ruszyła ku schodom przyklejonym do jednej ze ścian. Maghar zerknął na swoją obstawę. Wciąż był niepewny sytuacji. Tartok nie miał powodów, by przyjmować go miło i jowialnie, ale też nie był mu wrogiem. Tak czy inaczej, musiał z nim porozmawiać. Ostatecznie przełamał się i poszedł za służącą.

Zabrała go do niewielkiej, ale czystej izby. W pomieszczeniu znajdowała się malowana skrzynia, na oko dość twarde łóżko i kwadratowy stół. Czarna przyniosła Magharowi miednicę z gorącą wodą, bandaż oraz świeże ubranie, zabierając stare. W pierwszej kolejności były marszałek obmył i opatrzył ranę zadaną przez psa. Wyjrzawszy przez niewielkie okienko, dostrzegł jeszcze służących sprzątających zwłoki zwierzęcia. Pospiesznie się obmył i wciągnął brązowe spodnie, jedwabną koszulę oraz ciepły, pomarańczowy kaftan. Czuł się w tym stroju jak pstrokata papuga. Mimo to zapiął na biodrach pas z pustą pochwą i wyszedł z izdebki.

Czarna czekała na niego za drzwiami.

– Proszę – powiedziała znowu.

Poszedł za kobietą z powrotem na schody i do saloniku.

Bruner Tartok siedział wygodnie na jednej z leżanek, a jakiś chłopak stał za nim z dzbanem wina. Go-

spodarcz podsunął mu swój kielich, a potem podniósł z podłogi miecz Maghara.

– To chyba twoje – powiedział.

Maghar podszedł i wyjął broń z jego ręki. Ostrze było czyste, więc od razu wsunął miecz do pochwy. Może była to ze strony gospodarza jedynie sprytna, psychologiczna zagrywka, ale poczuł się dzięki temu o wiele pewniej. Bruner wskazał stojący na najbliższym stoliku kielich z winem.

– Porzeczkowe – powiedział. – Prosto z Cesarstwa. Od Czarnej pewnie nie wyciągnąłeś za wiele, co? Kiepsko mówi po kahrańsku.

– Grunt, że rozumie polecenia, prawda? – zauważył Maghar, biorąc naczynie.

Bruner zmarszczył podejrzliwie brwi, ale uśmiechnął się oszczędnie w odpowiedzi.

– Tak. Odejdź, kobieto – rozkazał, a Czarna ukloniła się i wyszła. – Co u ciebie, stary lisie?

– Nie jestem jeszcze taki stary – zwrócił mu uwagę Maghar, odpinając pas z mieczem, który oparł o najbliższy fotel.

– Kiepsko wyglądasz.

– Zbyt częste rozmowy z milicją nie wpływają dobrze na kondycję. – Usiadł. – Sam dobrze wiesz.

Bruner pociągnął łyk wina.

– Oczywiście wiem, o co cię oskarżono – przyznał. – I że wydalono cię z milicji. A jednak tu jesteś. Po co?

– Ile wiesz o ucieczce Itonoki? – spytał gość prosto z mostu.

– Nic.

– Stary kłamca.

Bruner uśmiechnął się.

– Znowu nic na mnie nie masz. Jak za dawnych, do-
brych lat, pamiętasz? Kiedy oskarżyłeś mnie o szmu-
głowanie broni palnej dla zbuntowanej biedoty. Ja
mam pieniądze, tobie brakuje dowodów. W dodatku
twoja wiarygodność po aferze ze śmiercią Jego Wyso-
kości jest raczej...

– Nie przyszedłem tu zrehabilitować się w oczach
milicji, jeżeli do tego dążysz – przerwał Ren. – Szcze-
rze mówiąc, nie jestem też zainteresowany oskarża-
aniem cię o cokolwiek. Ślepiec powiedział, że znasz
Szczurzą Panią.

– Stary, wredny plotkarz – warknął Bruner. – Pij,
Ren. Po co ci te informacje?

Maghar wypił duszkiem połowę kielicha. Wino
smakowało przednio. Odsunął naczynie od ust dopie-
ro, gdy strużka trunku spłynęła mu po brodzie. Otarł
wargi i rzucił:

– To sprawa między mną a tym skurwysynem, ko-
mendantem Kasharpem.

– Czyli jednak to praca dla milicji?

– Nie robię tego z własnej woli.

Bruner zawahał się.

– Czy jeśli ci pomogę, zataisz, skąd posiadasz
te informacje?

Maghar skinął głową. Nie miał interesu we wsy-
pywaniu Tartoka. Dopił wino.

– Mogę prosić...? – mruknął ochryple, unosząc
kielich.

Chłopak za plecami Brunera zrobił krok, ale ten go zatrzymał.

– Nie będziesz poił gościa resztkami z dna dzbana – powiedział ostro. – Dolej mnie i przynieś panu Magharowi sammańskiego.

Służący pospiesznie nalał Brunerowi i znikł w kuchni. Tartok napił się i pochylił lekko w przód.

– Szczurza Pani – powiedział cicho – zyskała sobie już pewną sławę w niektórych kręgach. Banici, rozbójnicy, łowcy nagród, cała ta wyjęta spod prawa gromada suczych synów całkiem nieźle kojarzy jej imię.

– Czym ona się zajmuje?

– Przede wszystkim zabijaniem ludzi w mniej lub bardziej skryty sposób. Dla innych albo na własny rachunek.

– To prawda, że milicja nic o niej nie wie?

– A czy milicja kiedykolwiek interesowała się bezpieczeństwem na zadupiach? Chyba przegapiłem moment, w którym przestała być tak strasznie zajęta podpieraniem królewskiego stołka. Wielu takich, jak Szczurza Pani się pojawiło i wszyscy zdechli prędzej niż później, może z wyjątkiem Czerwonej Żmii – powiedział obojętnie Bruner. – Nawet jeżeli milicja coś słyszała, nikomu nie chciało się grzebać głębiej.

– Była tutaj, prawda?

– Ja zabiję tego starucha – warknął Bruner. – Tak, była.

– I?

– Młoda. Ta twarz... piękna. Trochę za wąską w biodrach i niezbyt piersiasta, ale mimo to...

– Czego od ciebie chciała? – spytał Maghar. Musiał przyznać, że postać Szczurzej Pani intryguje go coraz mocniej. Przypominała Kerin, ale Zmiennoskóra nie żyła, a przynajmniej nie miała ciała.

Służący przyniósł nowy dzban. Napełnił kielich Maghara, który skosztował wina. Było słodsze niż poprzedni trunek, z lekko ziołowym aromatem, którego nie mógł zidentyfikować.

Bruner wzruszył ramionami. Osuszył swój kielich i odstawił naczynie. Gdy służący podszedł, nakrył naczynie dłonią.

– Potrzebowała pomocy w sprowadzeniu pewnego towaru – wyjaśnił Bruner. – Piłeś kiedyś sammańskie?

Maghar pociągnął kolejny łyk wina, oszczędniejszy od poprzedniego. Nagła wstrzeźliwość gospodarza wydała mu się podejrzana.

– Piłem, ale złote, nie czerwone – mruknął niezobowiązująco, by zyskać chwilę na przeanalizowanie sytuacji.

– Co sądzisz?

– Jest...

Chciał powiedzieć „dziwne”, ale zamiast tego uniósł kielich i pociągnął jeszcze jeden drobny łyk.

Wreszcie rozpoznał ten aromat. Zgiął się w pół i wykaszlał na dywan wszystko, czego nie zdążył połknąć. Odstawił naczynie na stolik.

– Skurwysyn – wycedził.

Wstał na nogi i złapał za miecz. Wydobył z pochwy ostrze. Bruner poderwał się gwałtownie z leżanki. Ma-

ghar skoczył w jego kierunku, ale potknął się na dywanie i wyłożył jak długi. Próbował wstać, jednak mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa. Łydki i uda miał jak z waty, przez ramiona przebiegały silne dreszcze.

– Za mała dawka – powiedział Bruner, stając nad nim. Jego uprzejmy, przyjacielski ton zniknął jak sen złoty. – Powinien zwalić się jak kłoda po dwóch łykach.

– Tak, panie – przytaknął pokornie służący.

– Daj kielich i otwórz mu usta.

Maghar zdołał odzyskać na chwilę władzę w lewej nodze. Pchany wściekłością i goryczą porażki, kopnął Brunera w goleń. Na nogach miał wojskowe buty o czubkach obitych stalą i twardej podeszwie. Bruner stęknął, zrobił krok w tył i opadł bezsilnie na stolik, który zatrzeszczał pod jego ciężarem.

– Suczy syn... – stęknął.

To przekleństwo było niczym w porównaniu z tymi, które w duchu miotał na niego przybysz.

Służący przyszedł z kielichem. Kucnął, otworzył Magharowi usta i wlał w nie płyn.

Nalało mu się do gardła i nosa. Wierzgnął rozpaczliwie, a wtedy trunek chlapnął do oczu, piekąc okrutnie. Kaszłał i krztusił się, szarpany drgawkami. Głos Brunera dotarł do niego jak przez mgłę:

– Dość.

Maghar zwinął się w kłębek. Szczękał zębami, szarpały nim niekontrolowane skurcze. Drgawki trwały nadal, gdy tracił przytomność.

II

Ostatni dzień Wojny Królów, w którym Kerosh Energys osobiście ściał człowieka nazywanego Wściekłym Psem, przeszedł do historii Królestwa Ognia jako moment przełomowy. Tłumy zebrały się, aby obejrzeć egzekucję. Wściekły Pies nie był jedynie najwierniejszym i najokrutniejszym sługą pokonanego władcy. Jego kariera stanowiła oszałamiający przykład tego, jak łamiąc wszelkie zasady i nie przebierając w środkach, można przywrócić świetność zubożałemu rodowi, zostać wielkim hetmanem, zdobyć ziemię, chwałę, bogactwo i przyjaźń monarchy, a nawet rękę księżniczki.

W dniu swojej śmierci Wściekły Pies wszedł na szafot dumnym krokiem, ze wzgardliwym uśmiechem na twarzy. Nie skorzystał z prawa błagania o łaskę, ale, zgodnie z przysługującym mu przywilejem, wybrał kata. Chciał, aby wyrok wykonał ten, który go wydał. Kiedy Energys, świeżo koronowany na króla, stanął przed skazańcem z mieczem w dłoni, Wściekły Pies powiedział:

– Będę dozgonnie wdzięczny za czyste cięcie, zdrajco.

Po czym uśmiechnął się jeszcze szerzej. Grymas znikł z jego twarzy dopiero, gdy klęknął nad pniakiem i odszukał w tłumie gapiów żonę oraz dwójkę dzieci.

Wiele lat później syn Wściekłego Psa stał w samotni Energysa, oddzielony od króla tylko blatem szerokiego stołu. Z wyglądu przypominał ojca, miał jego bladobłękitne oczy, czerwone włosy oraz smagłą skórę wszystkich Dzieci Ognia, ozdobioną migotliwym

wzorem, który w świetle płomieni połyskiwał czerwienią. W czasie buntu, który podniósł w wieku siedemnastu lat i później, gdy bezlitośnie pustoszył granice jako banita, dowiódł, że przypomina Wściekłego Psa także w kwestii okrucieństwa. Był wysokim mężczyzną, nawet jak na Syna Ognia, a przy tym dobrze zbudowanym. Życie banity wytopiło z jego ciała wszelki zbędny tłuszcz, kształtując mięśnie, przez co stał się zarazem silny i żyłasty. Poruszał się płynnie, pewnie. Nosił starą kurtkę z czarnej skóry, połataną barwnymi skrawkami materiału, a pod nią czysty kubrak i koszulę. Ciepłe, wełniane spodnie wcisnął w wysokie buty z cholewami. Nie miał żadnej broni, ale jego obecność i tak wywoływała poczucie zagrożenia.

– Twój syn bardzo wyrósł – rzucił, uśmiechając się wzgardliwie, dokładnie jak ojciec.

Książę Kerosh Karey, siedzący na krześle w kącie, zmarszczył gniewnie brwi i otworzył usta. Enerys posłał mu znaczące spojrzenie, więc chłopak natychmiast je zamknął i naburmuszył się. Nie lubił, gdy wydawano mu rozkazy, jednak nigdy nie ośmielił się sprzeciwić ojcu.

– Daruj sobie, Shavok – powiedział łagodnie Enerys. – Słyszałeś, co wydarzyło się w królestwie Kahru?

Shavok cmoknął i pokręcił głową.

– Niby skąd? – spytał. – Byłem w Varmondii. Na twój rozkaz zresztą, Wasza Wysokość. – Zabrał kielich króla z winem, oparł się o stół i napił. – Co takiego? Ich zidiociały król znów odjechał jakąś interesującą kaszanę?

Postawił kielich przed Enerysa, który spojrzał na niego z obrzydzeniem.

– Teraz już to wypij – mruknął. – Nintan Itonoka uciekł z więzienia.

Shavok przechylił głowę.

– Itonoka? – powtórzył. – Myślmy o tym samym Itonoce?

– Czy myślisz o człowieku, który został najmłodszym marszałkiem Rady Stanu w historii Kahru i z pewnością zdobyłby tron, gdyby nie oskarżono go o zamordowanie żony i własnej córki, a następnie nie zamknięto na zawsze w Lochach Trolli? – zagadnął Enerys. – Bo ja właśnie o nim myślę.

– To on – zgodził się Shavok, unosząc znów kielich do ust. – Ale słyszałem, że z tego więzienia nie da się spierdolić. To sprawdzona informacja?

– Cały Kahr o tym mówi – odrzekł Enerys. – Biedny Jego Wysokość Lekthry odwołał wszystkie wizyty i zabarykadował się w pałacu, drżąc ze strachu przed Itonoką. Krążą już plotki, że Itonoka zbiera armię, by uderzyć na Dom Pierwszych Zdobywców. Inni mówią, że ma już sto dwadzieścia tysięcy ludzi, a jeszcze inni, że po wszystkich wsiach i miastach krążą emisariusze, którzy zebrali dla niego oddziały. – Skrzywił się. – Cokolwiek planuje, nie wątpię, że będzie chciał przejąć władzę w Kahrze. Przez całe życie do tego dążył. Po cóż innego miałby uciekać z więzienia? Co gorsza, w przeszłości popierały go niższe stany Kahru. Jestem pewien, że zdoła do nich trafić także teraz,

a poparcie prostaczków zawsze jest niebezpieczne w przypadku rewolty.

– W zasadzie, dlaczego nie chcesz, żeby przejął władzę? – spytał Shavok.

– Nie twoja sprawa.

– To po cholere ściągasz mnie z tak daleka? – dociekał Czerwona Żmija.

– Itonoka nie miał dość czasu, żeby zebrać armię. Ukrywa się diabli wiedzą, gdzie. Musisz go znaleźć i zabić. Pozbądź się jego popleczników, a jego głowę przywieź mi w prezencie.

– Oczywiście – odrzekł Shavok.

Energys westchnął ciężko i przymknął oczy. Przechesał palcami sięgające brody, siwe włosy.

– Karey – powiedział.

Syn wstał, przyciągnął krzesło naprzeciw króla i ponownie usiadł.

– Ojciec – powiedział cicho.

Energys spojrział z miłością na chłopaka. Jego syn miał dziewiętnaście lat, przystojną twarz, białe włosy matki i ciemne, brązowe oczy, po ojcu. Dumnie zaciął usta, krzyżując ramiona na piersi. Nie podobała mu się cała ta sytuacja, być może bał się Czerwonej Żmii bardziej od starego króla.

– Viseriya Shavok jest nam potrzebny – powiedział łagodnie Energys.

– To nędzna, wyjęta spod prawa kreatura – zaprotestował Karey.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale umilkł i zgarbił ramiona pod surowym spojrzeniem Energysa.

– Król czasem musi pobrudzić sobie ręce, Karey. On jest nam potrzebny. Obiecałem mu amnestię za dekadę wiernej służby. Zostało siedem lat, a do tego czasu na pewno umrę. Wtedy zrobisz z nim, co zechcesz. Czy wiesz, dlaczego Nintan Itonoka jest dla nas niebezpieczny?

Karey wpatrzył się w sufit i przygryzł wargi.

– Ponieważ Lekthry jest głupcem, który doprowadza Kahr do ruiny, a Itonoka mógłby go odbudować – powiedział wreszcie. – Chcemy, żeby nasi sąsiedzi osłabli, by zagarnąć ich ziemie.

– Bardzo dobrze – pochwalił Enerys.

– Co z sojuszem, ojczy? – spytał niepewnie Karey. – To dzięki niemu z Kahrem mogliśmy zbudować Imperium Stali i Ognia.

– Do Imperium jeszcze daleko, chociaż bez wątplenia tak to nazywają – powiedział Enerys. – Na razie zdobyliśmy Błotne Ziemie oraz po skrawku Państwa Sinych Wzgórz i Varmondii, reszta ziem podlega pod jurysdykcję Kahrańczyków. Mogliśmy mieć Półwysep Kupiecki, gdyby nie odmówili nam pomocy. – Zajrzał do kielicha, który zostawił Shavok i odstawił go z niechęcią. – Powiedz mi, z kim prowadzimy wojnę? Do przejścia jakich terenów dążymy? Od śmierci Jego Wysokości Geshwanka wszystko szlag trafił. Stańliśmy w miejscu. Kahr słabnie, a ponieważ dzielimy z nim władzę nad Imperium, my również słabniemy. Musimy pożreć naszych drogich sąsiadów, scentralizować władzę i kontynuować ekspansję. Współpraca między naszymi krajami na polu zarządzania Impe-

rium miała sens, gdy jako partnera do rozmów mieliśmy Geshwanka.

– Może Itonoka też byłby dobrym partnerem?

– Może. Ale chyba lepiej rządzić, niż zgadzać się na kompromisy?

Karey zawahał się, ale skinął głową.

– Oczywiście masz rację, ojcze.

Energys uznał tę sprawę za zakończoną. Przeszedł do innej, która również zaprzętała jego myśli i wzbudzała niepokój.

– Jak układa ci się z żoną?

Chłopak skrzywił się, jakby połknął łyżkę octu.

– Jest ponura, milcząca i zgorzkniała – mruknął. – Nie znoszę tej jej skrzywionej miny.

– Widziała, jak zamordowano jej ojca. Weź na to poprawkę – poprosił Energys. – To dobra partia. Wasze dziecko będzie miało w żyłach krew Keroshów i Geshwanków. Mam nadzieję, że pracujesz nad dzieckiem?

– Oczywiście, że tak – zapewnił Karey. – Codziennie. Jest ładna, ale mimo wszystko... – Znów się skrzywił. – Tu nie chodzi o to, że widziała, jak zamordowano Geshwanka. Ona po prostu... Mówiłem ci, że nie była dziewicą.

Zupełnie, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie, pomyślał Energys. Naiwna młodości...

– W Królestwie Ognia mało która jest dziewicą w dniu ślubu – stwierdził obojętnie.

– Nie chce powiedzieć, kto pozbawił ją cnoty, ale chyba nadal go kocha.

– I co? – spytał Enerys. – On został w Kahrze, Kareyu. Nieważne, kogo kocha. Nieważne, kogo ty kochasz. Jesteście parą księżęcą, wkrótce zostaniesz królem. Małżeństwo to nie miejsce na miłość. Nie dla takich jak my.

– Wiem to wszystko, ojczy – powiedział nieśmiało Karey.

– Spróbuj zastosować tę wiedzę w praktyce – poradził Enerys. – Możesz odejść.

Karey wstał i uklonił się lekko. Wyszedł z samotni ojca. Na korytarzu, poza gwardzistami, czekali jego osobiści strażnicy, których sam wybrał spośród licznych kandydatów.

– Idziemy – powiedział do ich dowódcy, ponurego typu z twarzą przeciętą paskudną blizną.

*

Viseriya Shavok, nazywany niekiedy Czerwoną Żmiją, opuścił królewski zamek boczną furtą. Nie byłoby dobrze, gdyby ktoś wiedział o jego układach z Keroshami, zwłaszcza dla nich. Jaką opinię wystawia sobie król paktujący z banitą?

Ruszył przez uśpione miasto, naciągając na głowę kaptur. O północy Serpina sprawiała ponure wrażenie. Ulice opustoszały niemal zupełnie. W niektórych tawernach paliły się światła, ale ze względu na przenikliwy ziąb rozbawiona gawiedź pozostawała wewnątrz budynków. Mgła snuła się po zaułkach. Żółtawe światło latarni nie rozrzedzało nocnych ciemności.

Shavok potknął się o nierówność bruku i zaklął. Im bardziej oddalał się od pałacu, tym paskudniejsze były ulice. Wszedł pod łuk starej bramy w środkowym murze, ciągle otwartej, odkąd miasto rozrosło się poza jego obręb. Ukryty w głębokim cieniu czekał tam na niego ktoś, kogo się nie spodziewał.

– Keytari? – szepnął, a z jego ust uleciał biały obłoczek pary.

Dosiadająca smukłego, długonogiego gniadosza kobieta rzuciła mu karabin, który Shavok wprawnie złapał. Spod czarnego płaszcza wystawały tylko czubki jej czarnych butów i dłonie w skórzanych rękawicach.

– Odesłałam twoich ludzi, żeby napili się czegoś, zamiast tu marznąć – powiedziała.

– I posłuchali cię?

– Ty byś nie posłuchał?

– W życiu.

– Nie wszyscy są permanentnymi głupcami jak ty. – Podała mu wodze osiodłanego karosza. – Przejazdzka?

Shavok przerzucił karabin przez plecy i wskoczył na siodło wierzchowca.

– Jedźmy – zachęcił.

Keytari uśmiechnęła się do niego spod kaptura. Skórę miała białą jak śnieg, a jej twarz cechowała przejmująca, nieludzka wręcz uroda. Spięła wierzchowca. Gniadosz ruszył spokojnym, równym krokiem. Klatka przymocowana z tyłu siodła podskakiwała lekko. Z jej wnętrza błysnęły czarne paciorki oczu należących do śpiącego wśród siana zwierzęcia.

– Czego chciał Kerosh? – spytała Keytari.

– Pozbyć się Itonoki – odrzekł Shavok.

– Kolejny wróg na liście – westchnęła kobieta.

– Pierdolony, koronowany głupiec – sprostował Czerwona Żmija. – Co go w ogóle obchodzi Itonoka?

Keytari wydobyla z wewnętrznej kieszeni płaszcza metalowe pudełko z kilkoma długimi, cienkimi cygarami. Poczęstowała jednym Shavoka. Zapalili, w powietrzu rozniósł się gryzący zapach mocnego tytoniu.

– A jak poszło z Varmondczykami? – spytała kobieta.

– To tępe pojeby. Agresywne i niezłe w walce, przyznaję, ale mimo wszystko tępe. Nie tylko nienawidzą Kahrańczyków: oni nienawidzą wszystkich, którzy nie są nimi. Na trzynaście grup, które spotkaliśmy, z trzema udało nam się porozmawiać, a gościnność zawsze szlag trafiał w momencie wspomnienia o jakiegokolwiek współpracy.

– Siebie nawzajem też nienawidzą? – mruknęła ironicznie Keytari.

– Żebyś wiedziała.

Skręcili w szeroką, ale brudną i zapuszczoną uliczkę biegnącą równoległe do widocznych już stąd murów.

– A co z Itonoką? – zainteresował się Shavok.

– Zbiera się do kupy – odrzekła Keytari.

– Trudno uwierzyć, co te pieprzone lochy robią z ludźmi.

– Łatwiej uwierzmy, gdy się tam znajdziemy, co najprawdopodobniej nastąpi wkrótce – zauważyła spokojnie.

Shavok popatrzył na nią znacząco. Mogła mówić, co chciała, ale on nie dopuszczał do siebie myśli o porażce.

– Nie pozwolę na to – stwierdził, a gdy kobieta w odpowiedzi roześmiała się kpiąco, dorzucił: – Przez dwadzieścia sześć lat czekałem na zemstę, Keytari.

– Cierpliwości – mruknęła.

– Powtarzasz mi to od miesięcy – powiedział ze złością. – Nie uważasz, że czekałem już dość długo?

– Uważam, że powinienesz myśleć głową, a nie jaja-mi – warknęła. – Pracowałam nad uwolnieniem Itonoki zbyt długo i zbyt intensywnie, żebyś teraz wszystko spieszył.

Przez chwilę jechali w całkowitym milczeniu. Czerwona Żmija tłumiał swój gniew. Bezczelna dziwka sprawiała wrażenie, jakby cała ta sprawa i wszystkie ich plany stanowiły jedynie przednią zabawę o niepewnym końcu. Dla niego były ziszczeniem snu o zemście i niczego nie pragnął tak, jak ich zrealizowania.

– Jaki on ma plan? – spytał, gdy ponownie skręcili.

– Nie mogę ci go zdradzić.

– Dzięki mnie jest na wolności.

Wypuściła mu w twarz kłęb dymu.

– Może ty jesteś wolnym człowiekiem, ale ja służę, Shavoku. Nie zdradzę ci jego tajemnic. – Zatrzymała wierzchowca. – Tu mają na ciebie czekać.

Wskazała tawernę na końcu ulicy. Pomarańczowy blask światła padał na dziurawy bruk. Z wnętrza dobiegały pijackie śmiechy.

Kobieta zawróciła gniadosza, by odjechać, ale Shavok kopnął w boki swojego wierzchowca i zastąpił jej drogę. Złapał Keyari za ramię, a do twarzy przysunął wydobyty z rękawa nóż. Nie pozwoli jej odejść w spokoju, nie po tym, co dziś od niej usłyszał.

– Uważaj, Keytari – rzucił cicho. – Ja jestem wędzem, a ty tylko nędznym szczurem i tanią kurwą. Nie próbuj ograbić mnie z tego, co moje. To ci się nie uda.

Nie widział wyrazu jej twarzy, skrytej w cieniu kaptura, ale Keytari skinęła lekko głową.

– Dobrze – powiedziała nieco drżącym głosem. – Wiem, do czego jesteś zdolny. Zapewniam, że nie masz we mnie wroga.

– Jeżeli mam, to już niedługo.

Schował nóż i popędził konia w kierunku tawerny. Keytari patrzyła za nim chwilę, a potem stępem ruszyła w drogę powrotną. Uśmiechnęła się szeroko spod kaptura i pognała konia do galopu.

*

Kerosh Karey stanął przed sypialnią żony i po raz ostatni westchnął w duchu. Jako księżę miał pewne obowiązki – jak choćby przebywanie ze swoją nudną, ponurą żoną, której spojrzenie sugerowało, że obwiniała go o wszystkie złe rzeczy, jakie spotkały ją w życiu.

Zapukał do drzwi i wszedł, gdy z wnętrza odpowiedziało mu ciche „proszę”.

Kerosh Rekhe stała przy oknie, przez które sączyło się światło poranka i czytała jakiś list. Wciąż była ubrana w długą, jedwabną koszulę nocną i ciężki szlafrok.

Brązowe włosy nosiła krótko obcięte. Rysy twarzy miała regularne, jeśli nie liczyć trochę zbyt szerokiego nosa. Mimo ciemnej karnacji, jej oczy płonęły jasnym, zimnym błękitem.

– Nie było cię wieczorem – powiedziała, nie odrywając wzroku od listu.

– Jego Wysokość mnie wezwał – wyjaśnił Karey. – Długo czekałaś?

Spojrzała na niego przelotnie.

– Nie – zapewniła. – Pomyślałam, że powiem ci dzisiaj. – Złożyła list i rzuciła go na łóżko. – Jestem w ciąży.

Jej ton był tak beznamiętny, że do Kareya przez chwilę nie dotarł sens słów.

– W...? – zaczął.

A potem krzyknął z radości, przyskoczył do dziewczyny, złapał ją w pasie, uniósł nad ziemię i okręcił się wokoło jak bąk. Gdy postawił Rekhe na podłodze, oswobodziła się łagodnie z jego uścisku i cofnęła kilka kroków.

– Idź już lepiej – powiedziała cicho. – Wyglądasz na zmęczonego.

Spojrzał uważnie na jej twarz.

– Nie cieszy cię to – mruknął. Czuł jak w gardle wzbiera mu niechęć do tej ponurej, obojętnej kobiety. Pomyślałby kto, że nawet jeśli nie pokocha jego, będzie zdolna przynajmniej do matczynych uczuć. – Prawda?

– Nie cieszy – odrzekła Rekhe. – Zostaw mnie, proszę.

– Przyszedłem tutaj...

– ...niepotrzebnie – dokończyła ostro. – Jestem brzemienna. Tego ode mnie chciałeś. Proszę tylko o spokój, na który zasłużyłam.

Karey spojrział w jej jasne oczy, którymi wpatrywała się w niego ponuro. *Jest smutną, szarą skorupką, bez niczego wewnątrz*, pomyślał.

– Oczywiście – wycedził.

Odwrócił się i wyszedł z jej sypialni, trzaskając drzwiami.

Na korytarzu czekało kilku jego osobistych gwardzistów.

– Znajdź Krazera – zwrócił się do jednego z nich. – Powiedz, że ma przyprowadzić mi dziewczynę. Jakąkolwiek, byle sprawdzoną. – Zadżganie przez dziwkę, ostatni rodzaj śmierci, o jakim marzył. – Będę w sypialni.

Gwardzista strzelił obcasami i odszedł. Karey skinał na pozostałych, po czym powlókł się przez ciemne, ponure korytarze zamku do swoich komnat.

Jego sypialnia mieściła się o piętro nad sypialnią Rekhe, blisko baszty, którą na własne życzenie zajmował król. W przeciwieństwie do ojca, Karey lubił wygodę i splendor. Dlatego podłogę w jego komnatach okrywał gruby, włochaty dywan, na ścianach wisiały drogocenne obrazy, a łóżko było małym dziełem sztuki, rzeźbionym ręką największego artysty Królestwa, Barnabash Koiny.

Karey zwałił się na pościel w butach i ubraniu. Ziewnął szeroko. Zmęczyła go nocna narada z ojcem, odwiedziny Viseriyi Shavoka i humory Rekhe. Nagle pożałował rozkazu, który wydał gwardziście. Po-

trzebował snu, a nie towarzystwa. *Dam jej trochę złota i odesłę, pomyślał mgliście. Ucieszy się tak czy inaczej.* Oczy same się mu zamknęły.

Obudziła go Perła, dziewczyna z luksusowego burdelu, który Karey bardzo lubił. Miała gibkie, zwinne ciało, bladobłękitne oczy i czarne włosy, które układały się we wspaniałe pukle. Klęczała nad Kareyem, całując go długo i namiętnie.

– Książę jest zmęczony? – spytała cichym, zmysłowo schrypniętym głosem, gdy zauważyła, że się obudził.

Niech cię szlag trafi, Krazer, zawsze wiesz, czego mi trzeba.

– Zmęczony i smutny – sprostował.

– Chcesz, żebym cię pocieszyła?

– Chcę, żebyś pomogła mi zapomnieć.

Uśmiechnęła się słodko.

– Niech będzie – szepnęła i znów go pocałowała.

III

Gdy Maghar ocknął się za pierwszym razem, świat pogrążony był w ciemności i chłodzie nocy. Wokół kręcili się ludzie, mroczne sylwetki o niewyraźnych konturach. On leżał na cienkim sienniku, nakryty stertą koców i futer. Kilka metrów dalej płonęło nędzne ognisko.

Ktoś przykucnął obok. Twarz była rozmazaną, pomarańczowo-czarną plamą.

– Pić – wychrypiał rozpaczliwie ranny.

Zamiast wody, której rozpaczliwie pożyądał, do jego ust trafiła metalowa łyżka z lepka, rozgotowaną kaszą.

Przełknął tylko po to, by znów poprosić o picie, ale oprawca pchał mu w usta kolejną porcję ohydnej brei. Później następną. I jeszcze jedną.

Nie wiedział, ile zjadł, ale koniec przymusowego karmienia powitał z ulgą. Przy jego ustach znalazł się kubek z rozcieńczonym winem. Maghar wypił całą zawartość naczynia, ignorując ziołowy posmak.

Dopiero, gdy jego mięśniami targnęły znajome skurcze, zrozumiał, że znów spojono go trucizną księżycowego kwiatu. Przeklinał własną głupotę aż do chwili, w której stracił przytomność.

*

Następne przebudzenie również nie należało do najprzyjemniejszych doświadczeń. Magharowi kręciło się w głowie. Leżał na plecach i słońce raziło go w oczy. W skroniach pulsował tępy ból. Zesztywniałe ciało drżało z wysiłku przy próbie wykonania najłżejszego ruchu.

Przez długą chwilę Maghar nawet nie drgnął. Poddał się telepaniu odkrytego wozu, na którym jechał. Wciągał w nozdrza stęchły zapach leżących wokół koców i futer. Wreszcie wykrzesał z siebie nędzne resztki sił i usiadł, stęknąwszy głucho. Zawirowało mu w głowie tak mocno, że musiał zamknąć oczy.

– Obudził się! – zawołał ochryply, męski głos.

Dzięki za fanfary. Mogłyby być cichsze, pomyślał Maghar. Głośny dźwięk sprawił, że głowa rozboleła go jeszcze bardziej.

Wóz stanął, czemu towarzyszyło szarpnięcie, od którego Magharowi zwinął się żołądek. Otworzył w końcu oczy i znów olśniła go jasność dnia. Jakiś mężczyzna w połatany płaszczu wlaź na wóz, niosąc drewniany kubek. Łyżką wygrzebał z niego trochę rozmoczonego w sosie chleba i próbował wcisnąć go do ust chorego. Ten odepchnął jego rękę.

– Wody – zażądał słabo.

Wóz otoczyło kilku jeźdźców, wszyscy zarośnięci i ubrani w nędzne, połatane szmaty. Jeden doprowadził konia bliżej i podał więźniowi bukłak. Maghar skosztował ostrożnie, ale nie wyczuł trucizny. Napił się chciwie, oblewając hojnie brodę i przód koszuli.

Nadjechał Bruner Tartok, w swoim lisim futrze i czapie nasuniętej na czoło. Obrzucił Maghara krótkim, uważnym spojrzeniem.

– Większa dawka – poinstruował.

– Są skuteczniejsze sposoby, by zabić człowieka – powiedział Maghar, oddając bukłak właścicielowi. – Daj mi miecz, to pokażę ci kilka.

– Nie chcę cię zabić – rzucił pogardliwie Bruner.

Wiem, przytaknął w myślach Maghar. Nie rozumiem tylko, dlaczego.

Dwóch jeźdźców ostrożnie zeskokczyło z koni i wspięło się na wóz. Widząc ich niepewne ruchy, Maghar uznał, że dałby sobie z nimi radę nawet bez broni, gdyby tylko był w lepszym stanie. Teraz, chociaż nie czuł się zupełnie otępieły jak zaraz po przebudzeniu, nie miał nawet siły, aby wstać. Nie wiedział, gdzie i po

co go wiozą. Ciągłe też nie docierały do niego w pełni konsekwencje takiego obrotu spraw.

Jeden mężczyzna wykręcił mu ręce w tył, a drugi szarpnął za włosy, odchylając głowę. Zębami odkorkował blaszaną manierkę i wlał do gardła trochę płynu. Spojony w ten sposób, zakrztusił się i zaczął kaszleć. Wyszarpał się z uchwytu drabów i pochylił w przód, bliski uduszenia.

– Daj mi to, kurwa – warknął, wrywając swojemu oprawcy manierkę.

Zaczął pić. Bruner Tartok obserwował go spod zmarszczonych brwi, aż wreszcie wykrzyknął:

– Na litość bogów, zabierzcie mu to!

Ktoś wyrwał Magharowi manierkę. Chciał powiedzieć otaczającym go gnojom, co o nich myśli, ale dostał potwornego szczękościsku. Przed oczami zrobiło mu się ciemno, nogami szarpnęły skurcze i wreszcie padł ponownie na wóz.

Pod wieloma względami trucizna była lepsza nawet od wina. Ofiarowywała całkowite zapomnienie.

*

Jak przez mgłę słyszał głosy. Wóz stał. Bruner Tartok głośno wyjaśniał komuś, że wiezie towar na targ w Spalonym Mieście. Odpowiedzią było mrukiwe potwierdzenie i stukot kopyt na trakcie. Żołnierze z przydrożnego garnizonu, pomyślał Maghar. *Jesteśmy na trakcie do Spalonego Miasta*. Próbował odpowiedzieć sobie na pytanie, co robią tak daleko na południu, ale nie zdołał. Był otępiały, głodny, spragniony i wyczer-

pany długotrwałym działaniem trucizny. Otaczał go stęchły odór dawno martwych zwierząt. Przewrócił się na bok i zwinął w kłębek.

Ktoś odsunął mu z twarzy skóry. Światło poraziło Maghara. Zamknął niechętnie oczy i wtulił twarz w futra. Szarpnięto nim i posadzono do pionu. Niechętnie uniósł powieki. Na wozie przykucnął Bruner Tartok, który spoglądał na niego z troską.

– Musisz coś zjeść – uznał.

– Muszę wrócić do Domu Pierwszych Zdobywców – odrzekł Maghar i w tej samej chwili przywalił go ogromny ciężar tych słów.

– To niemożliwe.

Maghar odetchnął, starając się zachować spokój.

– Nic nie rozumiesz. Oni mają mojego siostrzeńca.

– Kto?

– Milicja – warknął Maghar. – Dali mi miesiąc.

Żywił nikłą nadzieję, że zostanie zrozumiany. Nie miał do czynienia z człowiekiem, którego wzrusza cudze cierpienie.

– Nic nie mogę zrobić – powiedział martwym głosem Bruner.

– Nieprawda. Po prostu gównu cię to obchodzi.

Maghar nawet nie był wściekły. Czuł tylko przytłaczającą rezygnację. Po raz kolejny zawiódł. Nadawał się tylko do zapijania na śmierć.

Jeden z drabów w połatany stroju podjechał z drewnianą miską pełną jakiejś papki. Podał Tartokowi naczynie, a ten wcisnął je w rękę Maghara.

– Jedz – nakazał.

Maghar wyłowił z miski łyżkę i chwilę grzebał w posiłku. Był to rozmoczony w tłuszczu chleb. Zaczął jeść, jednocześnie rozglądając się dookoła. Jak podejrzewał, jechali traktem – kilka wyładowanych wozów, Tartok i może czterdziestu uzbrojonych drabów w zniszczonych ubraniach. Za nimi malała drewniana stacja, stojąca przy drodze. Po lewej i prawej rozciągały się rdzawe równiny. Siąpił zimny deszcz.

Maghar nie miał już woli walki. Czuł się wyzwuty z sił. Gdyby próbował teraz wstać, zatoczyłby się i upadł. Zjadł całą zawartość miski, po czym przyjął dobrze znaną manierkę.

– Do dna – powiedział mu Tartok.

– Niech cię szlag – odrzekł zrezygnowany Maghar.

Przycisnął naczynie do ust i posłusznie wypił całą zawartość. Nim przełknął ostatni łyk, stracił przytomność.

*

Było ciemno i straszliwie zimno.

Maghar leżał na wypchanym sienniku, nakryty grubym futrem jakiegoś zwierzęcia. Obok siebie ujrzał pustą miskę. Sięgnął rozpaczliwie ku niej, przyciągnął i zwymiotował. Usta wypełnił mu smak kwasu i żółci, wymiociny bryzgnęły nawet nosem. Trząśł się chwilę, pochylony nad naczyniem, a potem powoli dźwignął się na klęczki. Usłyszał szelest, kiedy coś przemknęło obok jego ręki. *Szczur*, uznał. *Lochy*? Myśl była bzdurna. Ściany, które go otaczały, wzniesiono z jasnego płótna, nie z solidnych kamieni.

Maghar zacisnął zęby i spróbował podnieść się na nogi. Lewe kolano zgięło się samo z siebie, w efekcie czego upadł twarzą w piasek. Splunął, odetchnął głęboko i raz jeszcze zebrał się na nogi. Ustał, chociaż łydki mu drżały.

Coś żywego i miękkiego otarło się o jego stopę. Wzrok na tyle przywykł już do ciemności, że ujrzał przemykające po piasku drobne sylwetki kilku gryzoni. Nie miał butów ani płaszcza. Na pogryzionym przedramieniu wymacał bandaż, chyba całkiem świeży.

Odnalazł połę namiotu, odgarnął ją gwałtownym ruchem i chwiejnie wyszedł w noc.

Wszędzie wokół białe namioty. Za źródło światła służyły wbite w ziemię pochodnie. Jak okiem sięgnąć ciągnęła się piaszczysta pustynia. Gdzieś w ciemności parskaly konie. Wokół namiotu Maghara stał kordon zakutych w zbroje wojowników. Jeden z nich podszedł do niego. Pod pachą niósł hełm. Jego pancerz znaczyły wgniecenia, rysy i rdzawe ślady krwi, ale, sądząc po przyszczatej twarzy, był jeszcze bardzo młody.

– On chce cię widzieć – rzucił.

Maghar aż podskoczył. *Na litość bogów, kobieta!*, pomyślał. Nigdy nie domyśliłby się tego po kwadratowej szczęce, wielokrotnie złamanym nosie i małych, krzywych oczkach. Poza tym babsztył musiał być naprawdę dobrze zbudowany, bo w zbroi wyglądał bardziej muskularnie od niejednego mężczyzny.

– Kto? – spytał Maghar, jeszcze bardziej skonfundowany nagłym odkryciem dotyczącym płci rozmawiającego z nim zjawiska.

– Nie gadać – warknęła kobieta, szarpnęła go za ramię i pchnęła mocno.

Maghar wypatrzył największy namiot, stojący mniej więcej w centrum obozowiska. Nie było to trudne – przez białe ściany bił blask jaśniejszy od światła pochodni.

Nogi nie do końca go słuchały, a piach usypywał się spod stóp, w związku z czym potykał się co chwilę. Odwracały się za nim głowy siedzących przed namiotami kobiet i mężczyzn. Wśród nich byli siepacze Tartoka. *Może setka ludzi*, ocenił, próbując za wszelką cenę zorientować się w sytuacji, odnaleźć sens ostatnich wydarzeń.

Przed jasno oświetlonym namiotem straż pełniły uzbrojone w karabiny Dzieci Ognia. *A jednak*, pomyślał kpiąco. *Ktoś tu nie dotrzymuje warunków sojuszu.*

Kobieta z fioletowymi włosami związanymi w ciasny kucyk zastąpiła mu drogę. Od stóp do głowy ubrana w skóry, u pasa miała krótki miecz, a na plecach karabin. Choć owinęła się płaszczem ze skrawków wielobarwnej tkaniny, drżała od nocnego chłodu.

– Po co go tu prowadzisz? – spytała.

– Jakiś tajemniczy „on” chce mnie widzieć – wyjaśnił jej Maghar, nim jego przewodniczka zdążyła otworzyć usta. – Domyślam się, że chodzi o Itonokę – dodał.

– Zamknij mordę i oszczędź nam swoich mądrości – warknęła strzyga w zbroi, popychając go naprzód. Cios prawie zwałił Maghara z nóg. Posłusznie prze-

szedł kilka kroków, które dzieliło go od wnętrza namiotu i wszedł do środka. Usłyszał, że strzyga ruszyła za nim. Wnętrze namiotu urządzono skromnie, chociaż wygodnie. Obszerne posłanie oddzielone od reszty pomieszczenia dwoma zasłonami z delikatnej tkaniny, niski stół i kilka poduch do siedzenia służyło za cały wystrój. Kilka ogromnych lamp paliło się jasnym światłem. Najbardziej okazała stała na stole, wśród cynowych półmisek i talerzy. Maghar dostrzegł wielkiego, tłustego szczura, który zażerał się kromką ciemnego chleba. Kilka mniejszych zwierząt myszkowało wśród kawałków kurczaka, obranego jabłka, owsa i rozgniecionych ziemniaków. Widział je także Bruner Tartok, siedzący przy stole z niepewną miną. Maghar mu się nie dziwił. Wszędobylstwo tych szkodników wzbudzało obrzydzenie nawet w nim, a nie należał do najwrażliwszych.

Nintan Itonoka siedział na posłaniu naprzeciw wejścia, z kielichem w dłoni, a o jego kolano ocierał się czarny szczur z pogryzionymi uszami, domagając się smakołyków ukrytych w garści mężczyzny. W Magharze wezbrała fala nienawiści, jednak niemal natychmiast opadła. Pamiętał Itonokę jako bardzo wysokiego, muskularnego mężczyznę o przystojnej twarzy i melodyjnym tenorze, który budził w kobietach dreszcz podniecenia. Teraz siedział przed nim żywy trup, wychudły strzęp człowieka o zapadłych ślepiach i bladej, cienkiej skórze opinającej kości. Zdawało się, że ledwo jest w stanie utrzymać naczynie z winem. Suche, połamane, całkiem siwe włosy okalały jego strasz-

liwą twarz. Koszula i spodnie luźno zwisały na ciele. Zapłacał za swoje uczynki, Maghar widział to aż zbyt wyraźnie. Poza tym wszystko, co ich podzieliło, miało miejsce bardzo dawno temu.

Dlatego to nie Itonokę zaatakował tak szybko, jak tylko był w stanie, ale Tartoka. Prawie go dopadł, kiedy poczuł palce strzygi, zaciskające się na jego karku. Szarpnęła Maghara w tył, aż się zatoczył i dobyła miecza.

– Dość tego! – rozległ się ochryply, zgrzytliwy głos.

– Schowaj broń – powiedziała do strzygi kobieta o fioletowych włosach, stojąca w wejściu do namiotu z gotowym do strzału karabinem. W świetle lamp misterny wzór zdobiący jej skórę mienił się żółcią, pomarańczem i czerwienią. – Już, Khale.

Strzyga usłuchała, splunęła na piasek i wymaszerowała z namiotu. Fioletowowłosa opuściła karabin i oparła go o nogę.

– Zostanę – powiedziała.

– Proszę cię bardzo – odrzekł Nintan.

Chudymi, wykręconymi palcami podał szczurowi kęs pokarmu.

– Siadaj, Renie Magharze – powiedział zbieg zgrzytliwym głosem. – Naleje sobie wina czy coś w tym rodzaju. Jak się miewa siostra?

Błąd. Nienawiść powróciła potężną falą, tak szybko, jak chwilę temu zdołał się jej wyrzec.

– Jak śmiesz o niej wspominać, skurwysynu? – wycedził.

Itonoka napił się.

– Wiele nas podzieliło, Ren – zauważył. – Mimo to staram się być uprzejmy i oczekiwałbym tego samego. Teraz nalegam, abys usiadł na dupie i napił się wina.

Chociaż Lochy Trolli wyniszczyły go w przerażającym stopniu, Itonoka nie stracił nic ze swojej dawnej charyzmy. Najmłodszy marszałek Rady Stanu w historii Kahru, zdolny dowódca i komendant, za którym żołnierze szli na śmierć chętniej niż za kimkolwiek innym, przemawiał tym samym nieznoszącym sprzeciwu tonem, co kiedyś. Magharowi pozostało usiąść na jednej z poduch i przyciągnąć sobie dzban oraz pusty kielich. O jego rękę otarł się piaskowy szczuroskoczek, na co Maghar wzdrygnął się i odepchnął niechętnie gryzonia. Nalał sobie wina i zauważył, że dłonie mu się trzęsą. Upił łyk i chwilę smakował płyn na języku.

– Wino zawdzięczamy uprzejmości pana Tartoka – powiedział oschle Itonoka.

Maghar przełknął.

– Bardzo dobrze znam smak jego wina – zapewnił ironicznie.

Bruner posłał mu złe spojrzenie.

– Mówiłem panu, ten człowiek jest niebezpieczny – powiedział do Itonoki.

– A ja mówiłem, że znam go lepiej niż pan – uciął ten. – Niech pan zaufa drogiej Rivie i jej karabinowi. – Przepił do stojącej w wejściu kobiety.

– Po co mnie tu ściągnąłeś? – warknął Maghar.

– Nie mogę jednak liczyć na uprzejmość? – westchnął Itonoka. – W porządku, Ren. To nie ja cię tu ściągnąłem.

Tartok wessał głośno powietrze. Riva poruszyła się niespokojnie, skrzypiąc skórzanym strojem.

– Uważaj na słowa – powiedziała cicho.

Maghar chciał odpowiedzieć, ale ku jego zdumieniu, zrobił to Itonoka:

– Mówić jeszcze mi wolno. Keytari jest teraz kawał drogi stąd, a Ren Maghar nie jest aż tak wielkim głupcem, by w czasie gościny tutaj nie zorientować się, kto jest panem, a kto zakładnikiem. – Zwrócił na Maghara niepokojące, bursztynowe oczy, zdające się przewiercać go na wskroś. – Szczurza Pani cię tu ściągnęła, a raczej, jeżeli mamy być konkretni, zamówiła cię jak towar.

Maghar popatrzył ze wstrętem na Tartoka, który wzdrygnął się i otarł pot z czoła.

– To prawda – powiedział niechętnie. – Miałem cię tutaj dostarczyć i zacząłem już szukać ludzi, ale, na szczęście, wpadłeś mi w ręce. Ogromne szczęście...

– Szczęście, że nie jesteś w mojej mocy – przerwał mu Itonoka, wciąż wpijając spojrzenie w Maghara. – Kazałbym cię powiesić na miejscu.

– Uprzejmość przede wszystkim – stwierdził cierpko Maghar, bardziej zainteresowany bliskością wina niż pustymi groźbami. Zamierzał ciągnąć tę rozmowę przynajmniej, dopóki nie skończy się alkohol. – Czego chce ode mnie Szczurza Pani?

– Kobiety są po to, by je ruchać, nie po to, by rozumieć – powiedział obojętnie Itonoka. – Nie mam pojęcia, po co cię tu ściągnęła.

– Ile ci zapłaciła? – Maghar zwrócił się do Brunera.
– Chcę wiedzieć, za jaką kwotę przehandlowałeś życie mojej rodziny.

– Zapłaciła? – powtórzył Bruner i prychnął pogardliwie. – Pozwoliła mi żyć.

Maghar dopił resztkę wina i cisnął w niego kielichem. Grubas nie zdołał się uchylić. Naczynie grzmotnęło go w środek czoła. Zaklął szpetnie, przyciskając dłonie do miejsca uderzenia. Maghar usłyszał szczęk odbezpieczanego karabinu, ale było mu wszystko jedno. Stał już na nogach.

– Uważaj – rzucił Itonoka. – Jestem cenniejszy. – Maghar obrzucił go gniewnym spojrzeniem. Obszedł chwiejnie stół, bo w głowie mu wirowało i podniósł swój kielich. – Zostaw nas samych – dodał Itonoka, skinąwszy ręką Tartokowi, który raczej uciekł niż wyszedł z namiotu.

Maghar nalał sobie wina i wypił je duszkiem. Później usiadł przy stole, odgonił od półmiska z kawałkami kurczaka dwa żerujące szczury i zaczął jeść.

– Co z twoją rodziną? – spytał Itonoka, karmiąc swojego gryzonia kawałkami chleba.

– Co cię to obchodzi? – warknął Maghar z pełnymi ustami, starając się nie wypluć przeżutego mięsa na brodę. – W co ty, kurwa, pogrywasz? Odpierdol się ode mnie, od mojej rodziny, od... Dlaczego tu jest tyle tych małych chujów? – wrzasnął, gdy jakiś szczuroskoczek uwiesił się jego kielicha, by zajrzeć do środka i w efekcie przewrócił naczynie.

Chwycił za nóż i chciał przebić zwierzę, ale Itonoka rzucił:

– Nie radzę.

Maghar wbił nóż w stół. Chwilę spoglądał na chłepczącego wino gryzonia i ten widok jakoś go uspokoił, pomógł opanować wezbraną furię. To zwierzę chciało tylko napić się alkoholu, a on znakomicie rozumiał tę potrzebę. Już opanowanym głosem powiedział:

– Też racja.

Przypomniał sobie o Szczurzej Pani. Tak, bez wątpienia dostrzegał w tym obozowisku piętno jej władzy, a przynajmniej zaczynał rozumieć, skąd wzięła pseudonim. Jeżeli instynkt go nie zwodził, rozsądniej było się wstrzymać od wybijania jej pupilków.

– W nic nie pogrywam – ciągnął cicho Itonoka. – Straciłem rodzinę i własne życie. Ostatnie dziewięć lat spędziłem w Lochach Trolli, będąc niewinnym, o czym dobrze wiesz. Życie we mnie zgasło. Wiesz, o co zapytałem, gdy byłem już w stanie mówić?

Maghar popatrzył na niego ponuro.

– O Geshwanka – powiedział z niezachwianą pewnością. – Też bym tak zrobił.

Itonoka skinął głową.

– I usłyszałem, że go zabiłeś.

– Nie jestem królobójcą.

– Wierzę. Znam cię, Ren. Nie zdradziłbyś go, o za-bójstwie nie wspominając. To co w końcu z twoją cholerną rodziną? – spytał.

– Pierdol się – wycedził Maghar.

– Mogę im pomóc.

- Baria dość wycierpiała przez ciebie.
- Mniej niż ja dzięki tobie.
- Nic nie mogłem zrobić!

Itonoka mierzył go uważnym spojrzeniem bursztynowych oczu.

– Mogłeś – odrzekł. – Zginąłbyś za to, ale nie to przesądziło o twojej decyzji. – Napił się. – Kiedy oskarżono mnie o zamordowanie żony i dziecka, milczałeś, chociaż znałeś prawdę. Po pierwsze, dlatego, że zawsze byłeś tak cholernie lojalny wobec Geshwanka. Po drugie, ze względu na to, co zrobiłem Barii.

Maghar zupełnie stracił apetyt. Znów nalał sobie wina. Stracił rachubę, ale po narastających zawrotach głowy i nieco bełkotliwym brzmieniu własnego głosu ocenił, że wypił więcej niż mu się zdawało. Osuszył kielich i odstawił go na stół. Zauważył, że ciągle drży mu dłoń. Przyglądał się jej przez chwilę, a wreszcie powiedział:

- Postąpiłem podle. Ty również.
- Brałeś w tym udział?

Maghar poczuł dreszcz biegnący mu wzdłuż kręgosłupa. Sięgnął po dzban i znów nalał sobie wina, chociaż poprzedni kielich miał być ostatnim. Tym razem pił powoli, łyk za łykiem, próbując zebrać myśli.

– Nie znam nazwisk ludzi, którzy zasiekli Cerenę i Totankę, wiem natomiast, że wielu z nich już nie żyje. Wiedziałem, po co pojechali do twojego domu. Dostałem rozkaz, żeby cię aresztować. – Oblizwał wargi. – Tak, brałem w tym udział, chociaż nie zabiłem żadnej z nich. – Zajrzał do pustego kielicha. Miał dość tej

rozmowy, która z każdym zdaniem zdawała się wymagać coraz większego intelektualnego wysiłku. Chętnie by już sobie poszedł, najlepiej przygarnawszy dzban. – Może jednak ukręcisz mi sznur?

– Zemsta byłaby cudowna – stwierdził Itonoka głosem ociekającym słodyczą trucizny. – Gdyby istniał choć cień nadziei, że przyniesie mi ukojenie – dodał i podał liżącemu go po palcu szczurowi ostatni kąsek chleba. – Co grozi Bariii?

– Komendant Kasharp.

– Milicja?

Maghar skinął głową.

– Dał mi miesiąc na dostarczenie informacji na temat twojej ucieczki z Lochów Trolli – wyjaśnił.

– Nieudacznik.

– Ale jeżeli się nie pojawię lub pojawię z niczym, zajmie się moim siostrzeńcem.

– Baria ma dzieci? – spytał Itonoka z ożywieniem.

Maghar przyglądał mu się przez chwilę. Zastanawiał się, jak wiele powinien powiedzieć akurat temu człowiekowi. Dość szybko uznał, że i tak nie jest w stanie myśleć zbyt jasno, więc tylko skinął głową.

– Córkę i syna.

– Kto...? – zaczął Itonoka, a potem wściekle machnął ręką. – Nieważne. Nie obchodzi mnie to. – Odstawił kielich. – Wyjdźcie. Wszyscy. Muszę pomyśleć.

Kobieta wreszcie opuściła swoje stanowisko z pełnym dezaprobaty prychnięciem. Maghar podniósł się powoli. Wino uderzyło mu do głowy mocniej niż początkowo sądził. Zachwiał się na nogach i prawie prze-

wrócił. Potrzebował solidnego odpoczynku. Mimo to niechętnie wyszedł z namiotu.

Nocny chłód przeniknął go do szpiku kości. Bosy i zmarznięty ruszył przez obozowisko. Nikt mu nie towarzyszył, ale wszystkie głowy obracały się czujnie, kiedy przechodził. *Nie mam szans stąd uciec*, uświadomił sobie. *A nawet jeśli, to niewiele mi to da*. Wiedział tylko, że znajduje się gdzieś na Pustyni Żywych Piasków, zapewne w pobliżu Spalonego Miasta, daleko na południe od Domu Pierwszych Zdobywców. Bez dokładnego określenia kierunku mógł błądzić wśród tych wydm do śmierci.

Strzyga imieniem Khale czekała przed jego namiotem.

– Właz do środka – warknęła.

– Włazę – odrzekł niechętnie. – Opuść trochę, mała.

Wargi kobiety zadrgały wściekle, a dłonie zacisnęły się w pięści. Maghar po prostu ją wyminął i wszedł do namiotu. Stał chwilę w oczekiwaniu, aż wzrok przyzwyczai się do zupełnych ciemności. Rozejrzał się uważnie. Na wygodnym, wypchanym sienniku zwinęło się do snu kilka szczuroskoczków o piaskowej sierści. Miskę z wymiocinami wyniesiono. Dostrzegł za to niewielki, niski stolik, na którym stały wygaszona lampa, pusty dzban i cynowy kielich. Były ustawione w sposób sugerujący, że ktoś wyszedł stąd jedynie na chwilę, ale pokrywała je warstwa kurzu. Zauważył też skrzynię, malowaną w jakieś wzory, których nie mógł w mroku rozpoznać. Przyklęknął przy niej i ją otworzył. We wnętrzu nie było nic niezwykłego, tylko trochę ubrań i ksiąg. Mimo to zaczął wyciągać rze-

czy na piasek, jedna po drugiej. Szeleszczące suknie ze zwiewnych jedwabiów i tiuli, luźne koszule, spodnie z czarnej skóry, wysokie, sznurowane buciory, kilka wielkich tomów w obcych językach. Dogrzebał się aż do dna skrzyni, ale nie znalazł niczego, co mogłoby posłużyć jako potencjalna broń. Zaklął przez zęby. Wolałby mieć przy sobie chociaż nóż.

Zaczął z powrotem składać i otrzępywać rzeczy z piasku. Poukładał je w skrzyni najstaranniej jak umiał, ale i tak było widać, że tu grzebał. Nie sądził, aby kogoś to obeszło.

Szczurza Pani, Keytari. Te trzy słowa tłukły się mu po głowie, kiedy gładki materiał sukien prześlizgiwał się między jego palcami. Ze słów Itonoki i z tego, co widział, wynikało, że to ona jest kluczem do rozwikłania zagadki.

Maghar zmarszczył brwi, usiadł na sienniku i wsadził w niego rękę. Siano drapało skórę, gdy macał przez chwilę we wnętrzu materaca. Nic nie znalazł. Brutalnie strącił siedzące na kocu szczuroskoczki i położył się na plecach.

Zasnął niemal natychmiast.

*

Maghara obudziło niezbyt czułe kopnięcie w bok. Drgnął i otworzył załzawione od snu oczy. W namiocie było gorąco i duszno. Przez cienkie ściany przesączało się ostre, słoneczne światło.

Nad Magharem stała kobieta w zbroi. Nie była to Khale – miała bardziej trójkątną twarz, szerszy nos

i pełniejsze usta. Jej smagła skóra i czarne włosy wskazywały na kahrańskie pochodzenie.

– Potrzebny mi twój rodowy pierścień – oznajmiła.

– Po co? – jęknął Maghar.

– Po prostu go daj.

– Dlaczego miałbym to zrobić?

Pochyliła się, ale Maghar odepchnął jej wyciągniętą rękę.

– Rozkaz Itonoki – warknęła.

– Nie wypełniam jego rozkazów.

Kobieta wyszczerzyła gniewnie zęby, chwyciła go za ramię i szarpnięciem próbowała postawić na nogi. Nie była na to dość silna, więc dała sobie spokój i znów kopnęła Maghara.

– Wstań i powiedz mu to.

Maghar splunął jej pod nogi, ale powoli zebrał się z siennika. Odsunął połę namiotu i wyszedł na zewnątrz, prosto w upał. Trzymające wartę wokół jego namiotu strzygi, uparcie noszące swoje zbroje, musiały gotować się żywcem.

Itonokę dostrzegł przy grupie wozów i jeźdźców, najwyraźniej zbierających się do drogi. Ruszył w jego kierunku i szybko zrozumiał, że wyjście boso z namiotu było bardzo złym pomysłem. Piach parzył w podeszwy: Maghar stanął przed Itonoką, tańcząc w miejscu.

W świetle dnia zbiegły więzień wyglądał jeszcze gorzej. Jego twarz szpeciły blizny po wrzodach, maskowane przedtem przez światło lamp. Wspierał się na prostej lasce. Stojący obok niego Bruner Tartok na widok Maghara zmarszczył brwi i dotknął rozbitego czoła.

– Po co ci mój pierścień? – warknął Maghar do Itonoki.

Itonoka pomasował skroń.

– Nie drzyj się – wycedził. – Głowa mi pęka. Daj mi tę błyskotkę.

– Po co?

– Jeżeli chcesz zobaczyć siostrę żywą, oddaj mi pierścień.

Maghar zawahał się, a potem zsunął z serdecznego palca wykonany z polerowanej stali pierścień ze swoim herbem, Wściekłym Psem. Położył go na wyciągniętej dłoni Itonoki.

– Jeżeli robisz mi fałszywe nadzieje, zabiję cię – zapowiedział.

Nie zabrzmiał zbyt poważnie, bo wciąż przeskakował z nogi na nogę.

– To niewiele dla mnie znaczy – odrzekł Itonoka.

– Niech go pan nie przehandluje – dodał, podając pierścień Tartokowi. – Ruszajcie już.

Tartok skinął głową, po czym dosiadł konia.

– Weźmie pan na siebie odpowiedzialność za tę decyzję – powiedział ostro.

– Niech się pan nie martwi o swoją skórę – warknął Itonoka. – Rozmówię się ze Szczurzą Panią, gdy wróci.

– Nie spodoba się jej to.

– Jedźcie.

Tartok krzyknął coś do swoich ludzi. Ruszyli powoli, bo kopyta koni i koła wozów grzęzły w miękkim piasku. Maghar patrzył za nimi, wciąż podskakując jak skończony głupiec.

– To wiele dla ciebie znaczy – rzucił.

– Co? – warknął Itonoka.

– Twoje życie.

– Moja rodzina nie żyje, wojsko mnie zdradziło, kraj o mnie zapomniał – odrzekł z goryczą zbieg. – Straciłem wszystko, co kochałem. Myślisz, że to, co mam teraz, to życie?

– Tkwisz tu i jesteś więźniem jakiejś szalonej kobiety. Gdyby twoje życie było bezwartościowe, robiłbyś wszystko, aby się uwolnić.

Itonoka przygryzł wargę.

– Porozmawiamy na ten temat, kiedy ją poznasz – powiedział wreszcie i odszedł.

IV

Przez dwa tygodnie Maghar zdążył zadomowić się w obozie, chociaż każdego dnia zżerał go niepokój. Dwukrotnie próbował ucieczki, ale łapały go kobiety służące Khale. Szybko przekonał się, że wszystkie to wredne dziry. Jeździły konno i walczyły równie dobrze, jak mężczyźni. Maghar mógłby szanować je za te umiejętności, gdyby nie to, że były antypatyczne do granic możliwości. Odnosiły się do niego z wyższością i pogardą. Tak samo zachowywały się wobec Synów Ognia pilnujących Itonoki.

Riva, która dowodziła oddziałem Dzieci Ognia, również nie należała do najmilszych. Co prawda wobec swoich kolegów zachowywała się znośnie, chociaż w nieco oschły sposób, jednak na Maghara warczała jak wściekły pies. Nie miał pojęcia, czym aż tak się jej naraził.

Itonoka również nie stanowił doborowego towarzystwa. Jego i Maghara dzieliły sprawy przeszłości, poza tym pobyt w Lochach Trolli zrobił swoje i zbiegły więzień większość czasu spędzał, odpoczywając w namiocie.

Słowem, Maghar nie miał nic do roboty. Spędził dwa tygodnie, pijąc wino z przywiezionych przez Tartoka zapasów, próbując bezskutecznie zapomnieć o groźbie wiszącej nad jego rodziną, włócząc się po obozie i obserwując treningowe potyczki Strzyg. Przy takiej okazji raz – jeden jedyny – podjechała do niego Khale i z wysokości wierzchowca rzuciła:

– Chcesz? – A gdy skinął głową, zakomenderowała:
– Dajcie mu broń!

Zaproponowano mu miecz, ale wołał topór. Jedna ze strzyg odstąpiła mu karosza; narwanego, masywnego ogiera. Od innej dostał tarczę. *Niezbyt uczciwa walka*, pomyślał, bo Khale miała nie tylko zbroję i hełm, ale też konia, który jej słuchał.

Mimo to pogalopowali na siebie, co w przypadku karosza było raczej wyuczonym zachowaniem niż nakazem jeźdźca. Koń nie zamierzał ustawić się w pozycji, która ułatwiłaby wymianę ciosów. Próbował za to ugryźć wierzchowca Khale.

– Myślisz, że ze mną wygrasz, nadęty samcze? – warknęła strzyga.

Maghar nie zamierzał odpowiadać na zaczepkę i wyprowadził nieco niezgrabny cios, który Khale bez trudu odbiła tarczą. W odpowiedzi natarła na niego i grzmotnęła go płazem turniejowego miecza tak mocno, że zamoczony spadł z konia. Leżał chwilę

i patrzył w niebo, a kiedy mrocзки przestały mu latać przed oczami, usiadł powoli. Otarł krew, spływającą mu cienkim strumieniem z rozbitej głowy. Strzygi przez cały ten czas stały wkoło, wyjąc ze śmiechu. Maghar uznał, że pierdoli podobne ćwiczenia i nigdy więcej nie wrócił na ogrodzony skrawek pustyni, gdzie kobiety Khale urządały swoje treningi.

Jestem w piekle, gdzie kobiety są brzydkie i wredne, wino cienkie, a noce zimne i samotne. Od picia nieustannie bolała go głowa. Chociaż miał mnóstwo czasu, nie dosypiał. Dręczyły go koszmary i troska o Barię.

Po dwóch tygodniach takiej męki zjawiała się ona.

Maghara obudziły głosy. W namiocie było ciemno. Jakiś szczur hałaśliwie zżerał suchy kawałek chleba, ale do towarzystwa gryzoni zdążył się przyzwyczać. W obozie było ich więcej niż ludzi, zawsze tłoczyły się na stołach z jedzeniem i już kilka samic wydało mioty w jego sienniku. Ich nagie oseski wyrzucał wraz z pokrzwawionym sianem.

Przez chwilę leżał, nasłuchując pokrzykiwań z zewnątrz. W końcu wstał, wciągnął na nogi buty i, nie sznurując ich, owinał się kocem. Zaspany i skacowany, wytoczył się przed namiot.

Ku jego zdumieniu, obóz właśnie zwijano. Ładowano namioty i sprzęty na wozy, do których zaprzęgnięto konie. Pośród ogólnego harmidru i kręcących się wszędzie, zakutych w zbroje kobiet, Maghar dostrzegł ją.

Rozmawiała z Khale, owinięta w zakurzony, czarny płaszcz z odrzuconym na plecy kapturem. Jej gniada klacz, zgrabna i długonoga, wyglądała na zdrożo-

ną. Szczurza Pani jaśniała w ciemności nocy niczym gwiazda. Jej śnieżnobiałe włosy spływały warkoczem aż do pas. Albinotyczna skóra ostro kontrastowała z ciemnym strojem. Obróciła głowę – jej twarz zdobiła podłużna blizna na lewym oku, w niecodzienny sposób urokliwa – dostrzegła go i skierowała ku niemu klacz. Maghar czekał w wejściu do namiotu. W gardle miał sucho, czuł w nim smród przetrawionego alkoholu i łupało mu w głowie.

Szczurza Pani osadziła wierzchowca krok od niego.

– Przyda ci się – powiedziała i rzuciła Magharowi bukłak.

Złapał go z wdzięcznością i pociągnął solidny łyk. Woda, chociaż słodkawa i zatęchła, wypłukała z ust suchość oraz obrzydliwy posmak.

– W Kahrze nie jest przyjęte zwracanie się tak obcesowo do nieznanym – stwierdził, oddając bukłak.

– Znamy się.

– Skąd, jeśli mogę spytać?

Szczurza Pani uśmiechnęła się.

– Przynajmniej ja cię znam.

Czyżby?, pomyślał Maghar, przyglądając się jej z powątpiewaniem. Rzeczywiście znał i to wcale nie tak dawno, pewną kobietę, która bardzo lubiła szczury. Kerin miała tylko trzy gryzonie. Jeżeli patrzył na jej nowe wcielenie, zdążyła urosnąć w siłę.

– Keytari!

Przez obozowisko szedł ku nim Itonoka, utykając lekko, ale bez laski. Za nim kroczyła Riva z oddziałem uzbrojonych w karabiny Dzieci Ognia.

– Wracasz do formy, jak widzę – rzuciła Szczurza Pani.
– Wiesz, jak twój kumpel Tartok dostarczył tu pana Maghara?

– Liczy się, że dostarczył go żywego – stwierdziła zimno.

– Narażając na śmierć moją rodzinę – warknął Maghar.
Keytari zmarszczyła brwi.

– Załatwiłem to – oświadczył Itonoka.

– Świetnie – uznała. – Plan też już masz?

– Plan? – powtórzył Itonoka.

– Plan zdobycia korony. Nie wspomniałam ci przed wyjazdem, żebyś coś wymyślił?

Itonoka przyglądał się jej uważnie. Maghar zauważył, że Keytari ma niezwykle oczy – wielkie, migdałowego kształtu, o barwie płynnego złota. Zerknął na Itonokę i zdał sobie sprawę, że pierwszy raz widzi go w tak dziwnym stanie, zawieszzonego między strachem i gniewem.

– Tak – powiedział powoli zbiegły więzień.

– Oczywiście.

– Mogę poznać szczegóły?

– Teraz?

– Tak.

– Ruszamy do Varmondii.

Maghar spojrział na Itonokę jak na szalonego.

– Do Varmondii? – powtórzył. – W towarzystwie Kahrańczyków i Dzieci Ognia? Varmondczycy nienawidzą jednych i drugich! Nie przeżyjemy spotkania z pierwszym plemieniem, nie wspominając o...

– Po co każesz mi obmyślać plany, skoro każdy może później zmieszać je z błotem? – warknął Itonoka do Keytari.

– Pies? – wycedził gniewnie Maghar.